WIEŚ i DWÓR

J. T.

CZERWIEC 1914. Cena 60 Kop. ZESZYT XII.



SKŁAD BRONI
ROBERT ZIEGLER
WARSZAWA, TRĘBACKA № 10.

Poleca wielki wybór broni nast. fabryk: **Syrena Hammerless Arms Co, Liège.** — **Manufacture d'Armes de Luxe „Griff"**, Liège.—**A. Jos. Defourny**, Herstal—Liège. (Uwaga: Podobnie brzmiąca firma nie ma nic wspólnego ze sławną fabryką A. Jos. Defourny), **Anciens Etablissements Pieper**, Herstal. — **Rewolwery i karabiny** gwintowane, po cenach umiarkowanych.

Oryginalne ładunki Mullerite za 100 szt. Rb. 7.50.

CENNIKI ILUSTROWANE NA KAŻDE ŻĄDANIE.

Fabryka Posadzek
T. DAMIĘCKI i S-ka
Warsztaty Mokotów ogród W-go Szustra, tel. 228-73.

Zawieranie wszelkich umów, modele i gotowe posadzki w kantorze **Nowogrodzka 28, tel. 25-65** przy zakładzie stolarskim (dom własny).

KAUCJONOWANE

Biuro Nauczycielskie i Pośrednictwa Pracy
M. ROŚCISZEWSKIEJ
WARSZAWA, JEROZOLIMSKA 68.

Rekomenduje wykwalifikowane pracownice i pracowników: w Nauce, Rolnictwie i Handlu.

SPECJALNY SKŁAD HERBATY

firmy

Br. K i C Popowy
B. TURLIK

140 MARSZAŁKOWSKA 140

Zlecenia telefoniczne i pocztowe załatwiam odwrotnie, telef. 69-18.

Ceny od 5 funtów hurtowe.

Bad Nauheim
Hôtel d'Angleterre (Englischer Hof)

NOWOCZESNY KOMFORT BLISKO ŁAZIENEK, USŁUGA POLSKA

Właścicielki: **A. Chrzanowska i A. Brodnicka.**

DZIECINNYCH UBIORÓW
MAGAZYN I PRACOWNIA
MARJI ZYGNERSKIEJ
Warszawa, Ś-to Krzyska 14, róg Włodzimierskiej. Telefon 287-88.

poleca wyprawy dla niemowląt.

NA PROWINCJĘ WYSYŁA SIĘ ZA ZALICZENIEM.

Wyroby trykotowe. —— **Ceny umiarkowane.**



NOWY WYNALAZEK!
Niezbędny w każdym gospodar. domowem Aparat do przygotowywania soków

„REX"
systemu Dreyera

czyni **najzupełniejszy przewrót** w przyrządzeniu soków owocowych, marmolad, galaretek i t. p., gdyż dzięki niemu wyciskanie, filtrowanie i t. p. staje się zupełnie zbyteczne. Wszystkie te czynności uskutecznia się w aparacie za pomocą pary, przyczem każdy sok zachowuje swój naturalny smak, właściwy zapach i piękny kolor.

Zabokrzecki i S^KA.
Marszałkowska 124 (dom Rosja). **Telef. 13-96.**



ADAM JASZCZOŁT
POLECA MEBLE GOTOWE WŁASNEGO WYROBU WE WSZYSTKICH STYLACH I NAJMODNIEJSZYCH FASONACH.

Kaliksta Nr. 10 dom własny. **Telefon 9-85.**

„MOR" SZCZURY I MYSZY
TĘPI RADYKALNIE

dla ludzi, zwierząt i drobiu nieszkodliwy

WYŁĄCZNA SPRZEDAŻ **ST. STANISZEWSKI**

SKŁAD APTECZNY I PERFUMERJA Warszawa, Krak. Przedm. 31.

Treść zeszytu XII-go.

Tadeusz Jaworski — Rolnictwo w dawnej Polsce.
Bożymir — Wiosna.
Wacław Wolski — Z cyklu „Arcana“.
Adam Zagórski — Racławice XV wieku.
Witold Noskowski — Z pod Wawelu.
Janina Olszewska — Piosnka.
Aleksander Janowski — Wrażenia z podróży naokoło świata.
Tadeusz Jaroszyński — Z Teatru.
Marcèle — Moda.

NA CZASIE:

Pociąg powietrzny. — Kronika. — Zmarli. — Varia. — Notatnik. — Na dobie.

LITERATURA:

Helena Pinińska — Kasztany kwitną.
Władysław Zalewski — Z wiosną.
Z literatury. — Nowości wydawnicze. — Z czasopism.

SPORT i HODOWLA:

Dodatek do Działu Sportowego: Konkursy Hipiczne w Warszawie.
Pal. — „Derby Warszawskie“.
T. W. J. — Jazda konkursowa na samochodach T. A. K. P.
— z. i. — Pégoud w Warszawie.
Kronika sportowa.

KILKADZIESIĄT ILUSTRACJI W TEKŚCIE.

ROK III. WARSZAWA, DNIA 15 CZERWCA 1914 ROKU. ZESZYT XII.

Wieś i Dwór

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.



Zofja Plewińska. Salon wiosenny Tow. Z. S. P. (Z oryginału fotogr. A. Masłowski). Ilustracja do „Bajki leśnej".

Rolnictwo w dawnej Polsce.

Ubogą jest literatura nasza w studja, zajmujące się stosunkami agrarnymi Rzeczypospolitej polskiej. Sposób gospodarzenia na wsi, ustrój społeczny, ekonomiczny i prawny poddanych do pana, sprawa danin i robocizny, ochrony chłopa przed wyzyskiem urzędników ziemiańskich, wreszcie ogólny obraz dawnego rolnictwa polskiego wymaga dużo jeszcze światła i rzeczowych badań. A jeżeli przyznamy słuszność słowom uczonego niemieckiego Meitzena, że „cała historja kultury wypływa i opiera się na stosunkach agrarnych", że „bez poznania tych ostatnich nie można pojąć ogólnego związku, zachodzącego pomiędzy poszczególnymi etapami w stopniowym rozwoju ludzkości" — to ze szczerem zadowoleniem powitamy zbiór studjów Ignacego Baranowskiego.[1]) Nie jest to praca jednolita, omawiająca w związku lub kolejno stosunki na „wsi i folwarku" w dawnej Polsce. Mamy tu raczej do czynienia z szeregiem luźnych rozpraw, opracowanych z wielką znajomością przedmiotu i z użyciem rzeczowych źródeł, drukowanych w latach ostatnich po rozmaitych czasopismach, a zestawionych teraz razem w jednej książce. Brak stosunku wewnętrznego pomiędzy temi studjami nie ujmuje poszczególnym rozprawom ich wartości; przeciwnie, doskonale przedstawiony dany temat zaciekawia i pobudza do dalszych dociekań historyka i zawodowca, a poucza i zajmuje przygodnego czytelnika. Warto dla tego rozpatrzeć się w tych ośmiu zarysach, aby wyrobić sobie chociażby ogólny tylko pogląd na sprawy agrarne u nas w ostatnich trzech stuleciach Rzeczypospolitej.



Kwitnące kasztany w Łazienkach. (Fot. St. Nofok).

W pierwszem studjum o „Gospodarstwie" Anzelma Gostomskiego daje nam autor na wstępie zarys literatury agronomicznej od czasów Karola Wielkiego z pochodzącą z jego epoki instrukcją gospodarczą Ludwika Pobożnego „Capitulare de villis" na czele. Mówi następnie o podręcznikach rolniczych Anglji („Fleta") i Włoch (Crescensa „Liber ruralium commodorum") z w. XVII i o tegoż ostatniego przekładzie na język polski Trzecieckiego z r. 1542. Obu autorom średniowiecznym służy za wzór największy z starożytnych agronomów, Collumella. Tym torem idzie literatura francuska i niemiecka od wieku XVI i równocześnie budzi się i w Polsce, jak to wykazuje zestawienie J. A. Kamieńskiego.[2]) Aby zadość uczynić natarczywym żądaniom ziemian co do podręcznika rolniczego, krakowski księgarz Jakub Siebeneiher wydał w r. 1588 pierwsze oryginalne dzieło polskie tego rodzaju: „Inwentarz domowy" czyli „Gospodarstwo" z rękopisu Anzelma Gostomskiego, wojewody Rawskiego, dostarczonego mu przez sławnego d-ra Oczko.

Dzieła swego, podjętego na prośby przyjaciół, Gostomski nie doprowadził do końca. Jedyny kompletnie wykończony ustęp, „Ziemianin" daje nam miarę zamierzonej pracy; reszta to tylko surowy materjał, bardzo cenny i ciekawy, lecz nieuporządkowany. Szesnaście listów Gostomskiego w wydaniu Siebeneihera podzielić możnaby na cztery grupy: 1) luźne notaty o „porządkach około gaszenia, powietrza, ładunku szkut" i „rządach ziemiańskich w miasteczkach", 2) listy: „jesień", „zima", „wiosna", „lato" w rolnictwie oraz „zapowiedzi", szemat ustawy wiejskiej co do czynszów i danin, 3) „Ziemianin" i 4) „nauki" dla urzędników, kluczników, młynarzy, piwowarów i t. p. W niewykończonem, nieupo-

[1]) *Wieś i folwark.* Studja z dziejów agrarnych Polski. Nakł. Księgarni W. Jakowickiego w Warszawie.

[2]) Piśmiennictwo polskie, rolnicze i technologiczne od r. 1549 do 1835. Lwów 1836.



Wiosenna kąpiel. (Fot. am. p. St. Kulikowskiego).

rządkowanem dziełku wojewody, wolnem od współczesnej mu pseudonaukowości, znajdujemy żywy obraz tego, jak się rządził, jak orał i siał, jak się obchodził z chłopami bogaty szlachcic rawski w końcu XVI w. Mamy w niem nietylko autentyczny inwentarz i instruktarz Gostomji Wielkiej i Małej, nie tylko ważny rozdział z agrarnej historji rawskich wiosek wojewody, ale obraz tych stosunków, które, panując w jednym zakątku polskiej ziemi, zostały przedstawione całemu krajowi, były rozpatrywane po dworach wielkich panów i pod strzechą kilkowłókowych ziemian, wszędzie służąc za wzór pożądany, w niejednej wiosce stając się normą, do której dostrajać się miała cała gospodarka.

Autor mówi następnie o rolniczo-handlowo-przemysłowym charakterze wielkopańskiej gospodarki Gostomskiego, o sprzedaży zboża w miasteczku własnem i w Gdańsku, o jego propinacji, młynarstwie i przemyśle drzewnym, o systemie merkantylizmu w dobrach wojewody, o urzędnikach, ekonomach, oficjalistach i ich do pana stosunku. Dalej zbiera zasadnicze rysy uprawy roli, nawozu, zasiewów, osuszania gleby, urządzania ogrodu i gospodarstwa domowego, hodowli drobiu, pielęgnowania lasów i sprzedaży drzewa. „Robota chłopków", sprzężaj, pańszczyzna, stosunek kmiecia do gruntu i do pana, „załoga" i wymiar kar na poddanych — zajmują ostatni ustęp w zestawieniu Baranowskiego. W końcu przychodzi autor do wniosku, iż „rządy Gostomskiego, aczkolwiek bezwzględne i surowe, uczyły czytelników, że dobrobyt poddanych gwarantuje ich własną zamożność, że tylko to nowe źródło dochodu jest „pobożne i przystojne", które jest „bez obciążenia poddanych".

Drugi rozdział książki traktuje o statucie Toruńskim z 7 stycznia 1520 r., a mianowicie o ustępie dotyczącym regulowania robocizn; przy tej sposobności omawia sprawę pańszczyzny przed uchwałą toruńską oraz sposób jej wykonywania w dobrach kościelnych, królewskich i szlacheckich. Wspomniany statut i o rok od niego młodszy, uchwalony na sejmie Bydgoskim, był nowym przywilejem dla szlachty, wywołany obawą, by wsie królewskie, zobowiązując chłopów do pańszczyzn lekkich, nie przeciągały poddanych z wsi prywatnych, gdzie robocizny były cięższe. Przytem tkwiła jednak w nim jedna myśl zdrowa: uzależnienie rozmiaru pańszczyzn od ilości gruntu, posiadanego przez chłopa, przez co

z biegiem czasu stał on się poniekąd tarczą obronną w rękach włościan. Omawiając znane z historji poszczególne zatargi i wyroki, odnośnie do statutu Toruńskiego, dochodzi autor w końcu do wniosku, że stanął on wkrótce w sprzeczności z życiem gospodarczem kraju i jedynie fałszywe interpretacje ustawy podtrzymywały jego sztuczny żywot.

O sądach referendarskich i ich zmiennym stosunku w ustawodawstwie krajowem oraz ich walce ze starostami i dzierżawcami w obronie prześladowanych włościan, mówi rozdział dalszy w książce Baranowskiego. Autor wykazuje wadliwość ich ustroju i bezsilność, lecz uważa je za instytucję pożyteczną, dzięki której chłopom w królewszczyznach działo się bodaj trochę lepiej niż w dobrach prywatnych.

Sprawą dziedziczności, zakupu, tranzakcji sprzedażnej lub dzierżawnej przez włościan na podstawie poszczególnych wypadków zajmuje się rozdział „Stosunek chłopa do ziemi we wsi małopolskiej;“ życiem gospodarczem na Podhalu od r. 1234 i jego kolonizacją oraz typami wsi i ich sposobie uprawy — ustęp dalszy; o dobrach puławskich w czasie rozbiorowym i błogich w nich rządach książąt Czartoryskich oraz sposobie ich gospodarki mówi rozdział szósty. Całkiem odmienne typy latyfundji białoruskich przedstawia autor w rozprawie o trzech hrabstwach, Szkłowie, Myszy i Bychowie, gdzie właściciele ich na 220 wsiach i kilkunastu folwarkach oraz miasteczkach „nie gospodarowali lecz panowali“, opierając się głównie na propinacji, arendach, czynszach i daninach.

Bardzo ciekawe jest wreszcie ostatnie studjum Baranowskiego o próbach organizacji drobnego kredytu wiejskiego za czasów Stanisława Augusta. Dowiadujemy się tutaj, że kredyt wiejski istnieje w Polsce już od r. 1715, kiedy to Ks. Jordan zakłada mons pietatis dla włościan pabjanickich, wydając pożyczki bez fantów lecz za poręczeniem gromady na kupno sprzężaju. Pozatem istniały dwa rodzaje instytucji współdzielczych: gromadzące i pożyczające naturalja, magazyny wiejskie z kapitałem zbożowym względnie magazyny publiczne księżny Anny Jabłonowskiej i Czartoryskich, magazyny drzewne w królewszczyznach dla zasiłku pogorzelców — i „karbony“ od r. 1765, wypożyczające pieniądze włościanom na nizki procent. Podobne są kasy wiejskie Jabłonowskiej i Świdzińskiego z kapitałem zakładowym właściciela. Wreszcie istniały w całej Polsce „załogi“, sprzedające chłopu na raty inwentarz gospodarski. Ta tylko była różnica w podstawie zakładów samopomocy w porównaniu do dzisiejszych, że dziedzice zmuszali swych poddanych do brania w nich udziału.

Słusznie widzi autor w postępowaniu właścicieli na obopólnych korzyściach ugruntowaną przezorność. Dążenie do własnego dobrobytu przez zwiększanie pomyślności włościan jest zdrową i mądrą zasadą ekonomiczną.

Przegląd prac Ignacego Baranowskiego nastręczyłby niewątpliwie jeszcze dużo ciekawych spostrzeżeń i uwag krytycznych. Kogo zajmuje sprawa wsi i folwarku na dawnych ziemiach polskich, tego odsyłamy do poważnego i źródłowego dzieła. Sam autor wskazuje w niem drogi, jakiemi powinnyby pójść dalsze badania historyczne, których wynikiem byłby tak pożądany całokształt obrazu rolnictwa w Polsce.

Tadeusz Jaworski.

Wiosna.

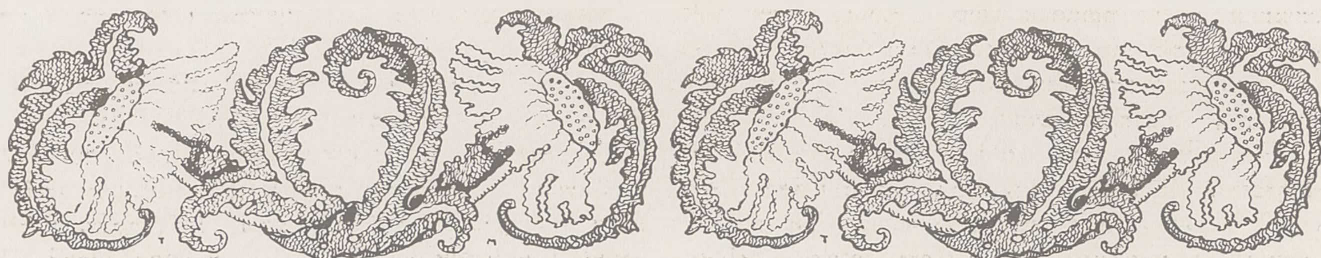
W złoty, wiosenny wierzyć świt
Muszę — choć płyną lata,
Choć zwątpień ostry, wstrętny zgrzyt
Zamyka klamrą rdzawą byt
Ziemski — i w cierń oplata.

Wiosna nadeszła — chociaż ziąb
Starości — tuż nad zrębem
Grobu mnie stawi — mówiąc: zstąp —
Bo czas! Zaszumi liściem dąb,
Dumny — że wyrósł dębem...

Wiosna nadeszła. — Czasu głos
Już słyszę... Iść za losem
Odwiecznym trzeba... Jako trzos
Ruń złotem sypie. Złotokłos
Szczęsny, że wyrósł — kłosem.

Wiosna nadeszła. — Nie patrz wdół...
Nadzieją duch wezbrany...
. . . .
Dla smętnych miast, spłakanych siół
Chleb kłosy niosą — a dla czół
Czystych — dąb — liść rzezany.
. . . .

Bożymir.





Dwór w Czeremosznem, p. Antoniny Urbańskiej. (Zdjęcie własne),



Dwór w Broniszowie. (Fot. am. p. Z. Ślaskiej).



Dworek, zwany „Młynkiem" w Beczkanach, pp. Bazarewskich. (Fot. am. p. W. Obrębskiego).



Dwór w Czechcu, p. Marjana Dziekońskiego. (Fot. am. p. Kaz. Wyganowskiego).

Z CYKLU „ARCANA".

(Z drugiej serji).

SPOJRZENIE.

Nadzwyczaj mile wspominam obojętne, *mijające* spojrzenie, jakiem mnie obrzuciła kiedyś z karety ślubnej, przybranej białem, weselnem kwieciem biała, rozmarzona panna młoda, podczas gdy jej blady, zblazowany *królewicz* patrzył bezmyślnie poprzez owalną szybkę na plecy furmana...

Gdyż w tem spojrzeniu na niecierpliwego przechodnia, który czekał na przejechanie szeregu pojazdów, żeby módz przejść na drugą stronę ulicy, odsłonił się na mgnienie złoty, tajemny skarb myśli przelotnej, cichego, *bezinteresownego* poruszenia duszy, dalekiego od przeżywanej chwili, od świeżo poślubionego męża, od życia...

Gdyż w tem roztargnionem, nic nie mówiącem spojrzeniu na mnie, przygodnie napotkanego człowieka, zupełnie jej obojętnego, obcego, jakiegoś życiowego wykolejeńca w wytartem palcie, z bladą, zdenerwowaną czekaniem na przejazd karety twarzą, może drgnęło w jej duszy przez to jedno mgnienie— *przeczucie baśni,* tęsknota za jakąś inną możliwością, za wcieleniem zwiewnego, nieuświadomionego snu... Może z tą chwilą zaczęło i zaraz skończyło się dla niej wszystko, co jest *Złotem Świętem Duszy, Godami Marzenia...*

Za pół godziny, kiedy się skończy ta banalna, poślubna przejażdżka, wejdzie ona, wsparta na wyfraczonem, czarnem ramieniu małżonka, może do jakiej wynajmowanej na weselne kolacje sali, żeby rozpocząć *nowe życie...*

Może to spojrzenie na mnie było dla niej pożegnaniem się nazawsze z Bajką?...

I dlatego wspominam je mile w ciche, samotne zmierzchy... I płaczę nad tem, że na tak krótko zakwita w duszy ludzkiej czarowny, złoty kwiatek majaczenia *o czemś innem...* *Wacław Wolski.*

Racławice XV wieku.

(NA PODSTAWIE KRONIKI DŁUGOSZA). (Dokończenie).

Tymczasem Inflantczycy, jeszcze nienasyceni dokonanymi mordami i ogromnymi łupami a zaznaną bezkarnością rozzuchwaleni, odłączyli się od reszty wojska i pod wodzą swego marszałka, Teodoryka Kroe poszli na zachód od Bydgoszczy ku Nakłu.

Przystała do tego rozboju spora część komturów pruskich ze swem rycerstwem a tucholski komtur, Jodok von Hogerkerche, jako stron owych najznajomszy, podjął się wskazywać drogę.

Był to już ósmy września i właśnie zawieszenie broni pod Łuckiem zawarto.

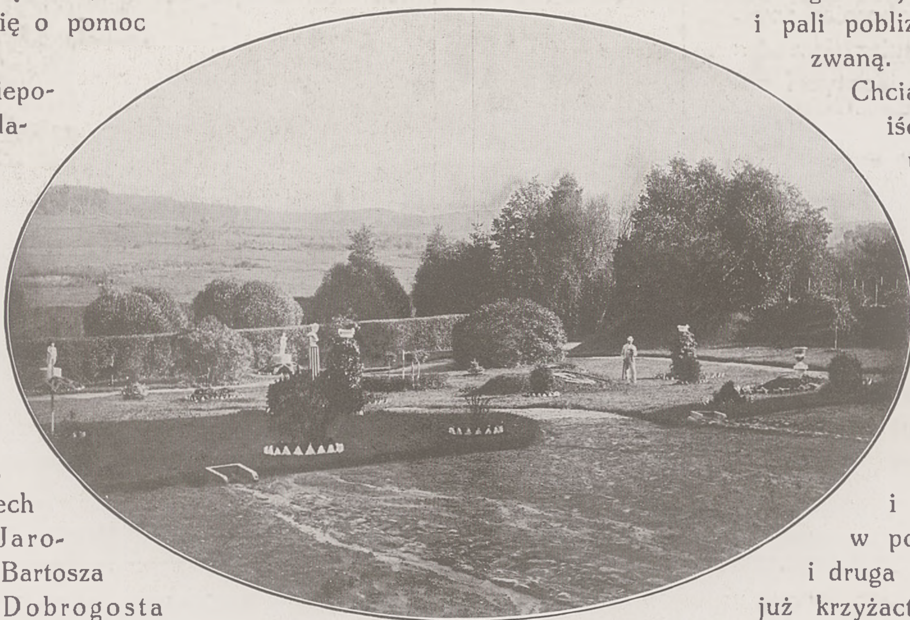
Rycerstwo polskie na wieść o srogich spustoszeniach ziem północnych wracało spiesznie ku domom. Ci co najpierwsi przybyli, ujrzawszy tak okropną klęskę w dobytkach, nie zwlekając, zwrócili się o pomoc do włościaństwa.

Rozżalony niepomiernemi krzywdami lud rwał się już sam do odwetu, więc nie zważając na mnogość i potęgę nieprzyjaciela i choć „boju nieświadomy“ zbiegł się wielką gromadą. Pod wodzą trzech rycerzy: Jana Jarogniewskiego, Bartosza Wissemburga i Dobrogosta Kolińskiego puszczono się w pogoń za inflanckiem wojskiem. Pościg miał ślad łatwy i niemylny: dymiące szczątki chat, w kupę popiołu obrócony użątek świeży; a czego ogień poźreć nie chciał lub co jeszcze pod zbiór nie doszło — stratowały ciężkie kopyta końskie. Tu i owdzie trup leżał nagi, okrutnie podarty od mieczów i włóczni.

A nad tą niedolą, nad tem strasznem spustoszeniem biadała rozpacz, jęczał płacz, przeklinała nędza i łamały się dłonie mieszkańców, którzy ocaleli od pogromu. Więc i przechodzącym na ów widok boleść obejmowała oczy a gniew wielki wzburzał dusze. Zaczem przyspieszali jeszcze kroku i silniej ściskali broń w pięściach. Mijani zaś, gdy się zwiedzieli, kto i za kim tak idzie, imali oręż, jaki popadł pod rękę i łączyli się w szukaniu słusznej pomsty. Wciąż przeto rósł tłum ścigających. Szli ci chłopi mazurscy i kujawscy, twardzi od twardego życia, mocni od pracy, potężni umiłowaniem matki-żywicielki ziemi rodzinnej — przeto z otuchą szli, choć w świtkach przeciw pancerzom, choć z maczugą, cepem, kosą — przeciw mieczom, kopijom i berdyszom. Wiodła chyżo tych chłopskich rycerzy sprawiedliwość, by ich ramieniem zapisać wyrok nieubłagany.

* * *

W środę 12 września pod wieczór dostrzegła pogoń szeroką łunę, a razem niemal napotkała zbiegów, którzy z lamentem oznajmili, że wojsko krzyżackie w ogromnej liczbie plądruje i pali pobliską wieś, Dąbki zwaną.



Widok z parku w Owancie.
(Z teki p. L. Paca-Pomarnackiego).

Chciano natychmiast iść z ratunkiem: udaremniła to jednak noc, zapadająca właśnie. Trafna też była obawa, że taki znagła, z drogi niemal podjęty napad łatwo zawieść może, a wtedy i duch by upadł w polskich szeregach, i druga walka z czujnem już krzyżactwem trudniejby wypadła... Postanowiono tedy podejść jak najbliżej pod nieprzyjaciela, osaczyć go, a wczesnym rankiem nań niespodzianie runąwszy, rozprawę walną odbyć.

Ruszono w nocny marsz lasami. Zbiegowie prowadzili. Od nieprzyjaciela oddzielała naszych rzeka Wiersza: tę znaczniejsza część armji wieśniaczej przybyła poniżej Dąbek wbród, część zaś poszła w górę biegu, pełznąc ostrożnie aż naprzeciw stanowisk krzyżackich. Z dwóch stron miano uderzyć.

Inflantczycy tymczasem, jakkolwiek nie spodziewali się napadu, z ostrożności wszakże, zwykłej żołnierzowi, zatoczyli na polach zniszczonej wsi olbrzymi obóz, oparłszy go o brzeg wspomnianej rzeki Wierszy. Tak, mniemając się być zgoła bezpieczni, legli do snu.

Świt następnego dnia wstał pogodny, lecz wła-



Pałac w Owancie, w gub. kowieńskiej, p. Tad. Paca-Pomarnackiego' (Z teki p. Ludw. Paca-Pomarnackiego).

ściwa chłodnym wrześniowym porankom gęsta mgła kłębiła się nad rzeką i słała się po polu z dymami dogasających zgliszcz. Powiew wiatru raz, drugi i trzeci zatargał kotłowiskiem oparów i spędzał je ku lasom. Zwolna odsłaniał się obóz krzyżacki. Zaczynał się w nim właśnie ruch, prowadzono konie do poju, czyszczono i wdziewano zbroje.

Naraz pośród tego półgwaru, jeszcze snem dławionego, zabrzmiała w przestrzeni olbrzymim chórem przedbitewna pieśń polska, „Bogu Rodzica". Toczyła się gromowym pogłosem po polach, echami odbijała o bór.

Krzyżacy zdumieli. W moment jednak zrozumieli, że jakieś niebezpieczeństwo im grozi i w ratunku przeciw niemu wysłali naprzód gromady knechtów, by pierwszą dali zasłonę, zanim ciężkie rycerstwo sprawi się w szyk bojowy. Inni rzucili się do umacniania obozu. Mgła opadła niżej, a wtedy Inflantczycy ujrzeli w mętnawej majace jakby olbrzymie widma duchów, wychodzące z lasu; też pierwszy szereg chłopów polskich dokładniej ujrzał obóz. Na widok brańców i łupów w nim nagromadzonych zawył odnowiony ból w duszach. Krzyknąwszy strasznie, rzucili się pędem w nadchodzących knechtów, a lecieli z taką siłą, iż zdawać się mogło, że to jakiś potworny orkan porwał głazy i niesie je przez powietrze.

Zadrżeli w obozie Krzyżacy, zadrżeli i knechtowie, a nim z trwogi ochłonęli, zwaliła się na nich rozszalała masa wieśniacza. Pomieszany łoskot szybkich ciosów, śmiertelne wykrzyki, chwila — a knechtowie padli, jak słaby płot obalony burzą. Reszta pierzchła. Ale za nimi ustawił się już i najeżdżał zastęp konnych rycerzy. O las kopji odbiły się z jękiem nagie piersi atakujących. Jednak drugi szereg polski pędził już z lasu, za nim trzeci, czwarty. Nim doszły, jakiś chłopina niedużego wzrostu, ominąwszy kopię jednego z jeźdźców żelaznych, bokiem skoczył ku niemu i, chwyciwszy go wpół, usiłował ściągnąć z konia.

Puścił srogi zakonnik włócznię a dobywszy krótkiej mizerykordji, źgnął nią w plecy zuchwałego napastnika. Atoli równocześnie otrzymał potężny cios maczugą w głowę, aż pękł hełm i rycerz osunął się wraz z przeciwnikiem na ziemię... Wyłom powstał w szeregu krzyżackim, a przezeń wdarli się chłopi na tyły i w mig roztrącili żelazny dotąd spój. Jak płomyki świec, gaszone przez kościelnego, znikali z rumaków krzyżaccy rycerze, godzeni zewsząd śmiertelnie.

Pozostali w obozie zdrętwieli, widząc tę niebywałą walkę. I zdało im się, że sen, niestarty jeszcze zupełnie z powiek, krwawą zmorą po tylu krwawych dokonanych dziełach ich pęta.

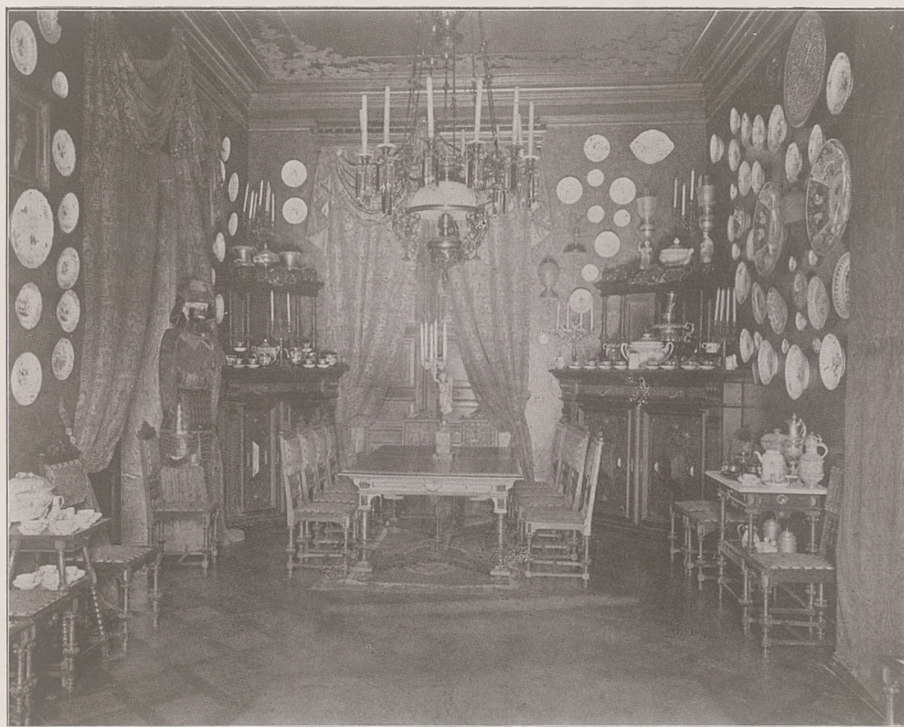
A chłopi, zniszczywszy zastęp konnych — nadbiegali bliżej i bliżej. Brańcy w obozie podnieśli krzyk radości i z gołemi rękami bunt wszczęli.

W tej samej chwili zabrzmiał z boku nowymi głosami hymn wojenny Polaków i zza mgły rzecznej wynurzyły się nowe szyki. Wówczas pojęli Krzyżacy, że to Krzywda wraca, spadając jak pocisk zuchwale rzucony w niebo na ich głowy.

Wicher przerażenia uderzył w ich zalękłe serca, niby w kupę zwiędłych opadłych liści. Pierzchnęli w ślepej ucieczce, zostawiając łupy, rzucając broń i z wrzaskiem trwogi panicznej gnali przed siebie.

Opanowawszy obóz, chłopi i garść konnego rycerstwa polskiego popędzili w pościg. Oddalał się tętent i krzyk pogoni. Pobojowisko zostało puste i ciche.

Upłynął czas jakiś. Na błoniu wśród poległych drgnął olbrzymi Krzyżak i przewalił się ciężko nawznak. Rozwarł oczy nieprzytomne nadchodzącym skonem, spojrzał wkoło. Tuż przy nim leżał chłop, przez niego mizerykordją zgnięty. Konali obaj, obaj siebie pokonawszy. I chłop również otworzył powieki; przytomny był jeszcze i widział drgawki przedśmiertne wroga. Lecz opuściła go już nienawiść ku niemu... Jakby świadomość zwycięstwa rozpromieniła dobrym blaskiem źrenice. A Krzyżak rzęził okropnie. Spowiadał snać ostatnim tchem zbrodniczą swą duszę, w lęku, na obcej, zakrwawionej mordem ziemi ulatującą z ciała grzesznego. Więc począł chłop zań i za siebie szeptać modlitwę. Krzyżak raz jeszcze zatoczył wzrokiem i skonał. Chłop szeptał dalej słowa pobożne. Wtem zdało mu się, że ktoś idzie. Uniósł się z trudem na ręku. Szedł tylko powiew od boru wonny, ojczystej ziemi powiew. Lecz z nim szła też niewidzialnie śmierć. Pchnęła kmiecia w pierś łagodnie i obaliła go znów na murawę. Poczuł bolesny i słodki razem ucisk, oczy zalał mu błękit, a potem ciemność. I ustał człowiek, jak przebrzmiewa ton w nieskończoności. Z roju much, krążących po błoniu, kilka osiadło na czołach i twarzach tych dwuch, już śmiercią objętych przeciwników, jakby badając, czy żywi jeszcze, czy też trupy tylko.



Fragment z wnętrza pałacu w Owancie — Sala jadalna. (Z teki p. L. Paca-Pomarnackiego).

Wysoko stojące słońce wrześniowe kładło na ciała złotą wspólną mogiłę rozedrganej żarem ciszy południa jesiennego.

* * *

Tysiąc z górą rycerzy zakonnych padło na placu i w pościgu, padła też wszystka piechota. Polegli komturowie Swor osterodzki i Walter dynaburski, zginął też i złowrogi sęp krzyżacki, komtur tucholski, Jodok von Hogerkerche, który Inflantczykom był za przewodnika. Marszałek inflancki, Teodoryk Kroe, komtur feliński, Walter von Gelse i siedmiu jeszcze innych komturów poszło w niewolę. „Wszyscy potem, prócz Teodoryka marszałka, w Krakowie smutne ponosząc więzy nędznie pomarli". Z innych mniej znacznych nie wielu wzięto w plen, w pogoni bowiem mało zabierano jeńców. Mała również liczba zdołała się ucieczką ocalić i schronić w ziemie zakonne. Zbłąkani bowiem w lasach, nieznający dróg ginęli bądź od mściwej obławy okolicznych włościan, bądź od dzikiego zwierza, bądź wreszcie od głodu i zimna, które wcześnie nastało.

Zdobyte na nieprzyjaciołach cztery chorągwie zawieziono wraz z wieścią do Krakowa i tam „na pamiątkę tak wielkiego zwycięstwa złożono je w kościele katedralnym. Powstała między ludem powszechna radość, którą mieszczanie krakowscy biciem we dzwony i oświeceniem całego miasta uroczyście objawili".

Adam Zagórski.



Z pod Wawelu.

Z dwóch momentów, które w życiu Krakowa najważniejszą odgrywają rolę: estetyki i polityki, oba były reprezentowane silnie w ostatnim czasie. Polityka miała swój benefis w wyborach miejskich, które rozpaliły namiętności na całe parę tygodni i doprowadziły je do takiego wrzenia, iż konsumcja w handelkach wzmogła się pewnie o setki kufli na godzinę. Bo handelek jest do dziś dnia dla Krakowianina-polityka miejskiego rodzajem sanktuarjum, w którem schodzą się zawsze ci sami goście, aby wentylować — mówiąc politycznie, a z wiedeńska — zawsze te same kwestje, wymyślać na rządy miejskie — bo i my lubimy powtarzać za Francuzem: *quel gouvernement mon Dieu!* — a potem głosować składnie i gorliwie tak, jak owa „klika rządząca" nakaże.

Tak stało się i tym razem. Wielka opera opozycji z posmakiem silnie antysemickim zakończyła się chórem głosujących, w którym skontrapunktyzowały się zgodnie różne głosy na chwałę obecnych rządów miejskich. Zwycięstwo partji rządzących, t. j. demokracji krakowskiej i demokracji mieszczańskiej było zupełne. Prawda, że t. z. „maszyna wyborcza", spoczywająca w ręku wszechmocnego magistratu, funkcjonuje znakomicie i niema obawy, aby zawiodła, więc rezultat nie był niespodziewany. Można ubolewać nad moralną stroną takich wyborów, przy których kandydatów raczej się nominuje, jak wybiera — ale i gdzieindziej nie jest o wiele lepiej. Smutne to może, ale prawdziwe. Partje i ludzie, będące u władzy, trzymają się jej całą siłą mięśni i nie puszczają z rąk tak łatwo.

A rządy Krakowem nie są sprawą lokalną, jak autonomja miejska Psiej Wólki i Biedolina. Kraków jest własnością całego narodu i na rządcach jego spoczywa wielka odpowiedzialność za charakter narodowy miasta i za jego rolę kulturalną. Kraków stał się Wielkim, t. j. przyłączył do siebie gminy podmiejskie i nawet całe miasto sąsiednie, t. j. Podgórze, leżące dotychczas „w Galicji", bo na drugim brzegu Wisły, dzielącej Wielkie Księstwo Krakowskie od tego „sąsiedniego kraju". Idzie teraz o to, aby był Wielkim naprawdę, aby umiał być stolicą Polski. Reprezentacyjnych obowiązków ma wiele i te spełnia mniejwięcej bez zarzutu, jeżeli idzie o obchody, jubileusze, zjazdy i t. d. Ale sprawy kultury w wyższem znaczeniu nieraz pozostawiają wiele do życzenia.

Nie jest zaś pocieszającą rola żywiołu żydowskiego w naszem mieście. Żywioł ten, wołając często, że nie pragnie separatyzmu, uprawia go *de facto*, rozpoczynając od interesów materjalnych, przy których zawsze umie wysunąć się na plan pierwszy. Znaną jest rzeczą, iż żydzi mają w ręku olbrzymi procent domów w Krakowie, że posuwają się ze sklepami ku Rynkowi, który wkrótce zupełnie opanują — Rynek, na którym nie tak dawno nie było jeszcze ani jednego sklepu żydowskiego. Przy tem ordynacja wyborcza miejska daje im ogromny, niestosunkowy wpływ na wybory, przy solidarności, z jaką umieją występować i rzucać głosy na szalę. Że zaś pieniężnie są bardzo silni, więc nacisk ich na władze i politykę miejską wygląda w praktyce bardzo energicznie.

Kłótnie partyjne między nimi, nieraz bardzo silne, milkną zawsze tam, gdzie idzie o ważny interes rasowy. I tym razem pogodzili się t. z. „kahalnicy" z „Żydami niezawisłymi"— terminy krakowskie, których wyjaśnianie zajęłoby zbyt wiele miejsca — i zamiast walczyć na noże, poszli zgodnie do urny. Plakaty wyborcze, obwieszczające hebrajskimi znakami kandydatów, skupiały przed sobą przez dni wyborcze gromadki polityków w chałatach, surdutach, jarmułkach i cylindrach, którzy rozprawiali gorliwie na temat owej zgody.

Estetyka odgrywa w życiu Krakowa, jako miasta, rolę dość sporą. Ktoś nawet nazwał nasze miasto przed laty „steroryzowanem przez artystów". Przesada jest oczywistą, ale faktem jest i to, że sztuka ma w codzienności Krakowa swój ton osobny i nawet dostaje głos w gospodarce miejskiej. Przy magistracie istnieje t. z. rada artystyczna, utworzona w swoim czasie na wniosek Wyspiańskiego, która czuwa nad estetyczną stroną nowobudowanych domów, a mia-



Jan Rubczak. Pod Sukiennicami.



Dworki u stóp Wawelu, zwane „Na podzamczu". (Fot. am. p. Marjana Nowomiejskiego).

sto przy ważniejszych przedsięwzięciach nieraz urządza konkursy artystyczne, aby uzyskać możliwie najlepszy plan, zarys i sposób wykonania danej pracy.

Obecnie rozpisano i rozstrzygnięto konkurs na ukształtowanie wylotu ulicy Wolskiej. Jedna z najpiękniejszych ulic naszego miasta, zamknięta w perspektywie Kopcem Kościuszki i prowadząca na Błonia do Parku d-ra Jordana, ma być punktem wyjścia dróg i ulic, idących na wszystkie strony od owego wylotu. Wśród nadesłanych planów znalazły się i bardzo dobre, idzie tylko o to, aby je wykonano należycie, nie dając za wiele miejsca spekulacji gruntami, która zamierza tę nową sposobność energicznie wyzyskać. W szczególności ważnem jest to, aby Błoń nie dano zabudowywać, ale aby je zachowano w całości, jako jedyne miejce przechadzki i odetchnięcia świeżem powietrzem, bo poza Plantami, Kraków ogrodów publicznych właściwie nie posiada i mieszkańcy muszą wychodzić za dzisiejsze miasto, jeżeli chcą odetchnąć świeżem powietrzem.

Niezabudowywania Błoń domagają się też gorliwie nasze stowarzyszenia artystyczne i kulturalne, których mamy kilkanaście, a które, trzeba przyznać, pracują gorliwie, propagują swe cele energicznie i znajdują poparcie w kulturalnych organach prasy tutejszej. Błonia są miejscem sportu i przechadzki. Na Błoniach uwijają się oddziały skautów, ćwiczą się drużyny strzeleckie, tutaj lata piłka nożna na zapasach oficjalnych naszej młodzieży sportowej i „prywatnie", w gronie gimnazjalistów i rękodzielników młodych, którzy pragną po pracy ruchu i odetchnięcia świeżem powietrzem. Na Błoniach odbywają się przygotowania do wielkich obchodów narodowych, tutaj ustawiają się owe olbrzymie nieraz pochody, jak pamiętny grunwaldzki lub rocznicy księcia Józefa — słowem Kraków potrzebuje Błoń, a zabudowanie ich nawet częściowo byłyby szkodą dla hygieny miasta, dla jego roli narodowej i jego piękności.

Kto zna dobrze Kraków, ten łatwo zrozumie, czem jest ten płat łąk, ograniczony z jednej strony Kopcem Kościuszki, z drugiej mający za to dumne wieżyce Wawelu, strzelistą igłą Marjacką i wszystkie kopuły Starego Krakowa. Trzeba go zachować, jako rzecz piękną i potrzebną. A spekulacja budowlana niech sobie szuka terenu gdzieindziej — parcel nie brakuje w Wielkim Krakowie.

Jest on Wielkim co do przestrzeni, ale w życiu jeszcze nieraz małym, nawet małostkowym trochę i — rozszerzmy jeszcze liczbę głosek tego słowa: — małomiasteczkowym. W każdym razie rozwój od lat kilkunastu jest widoczny i cokolwiek możnaby zarzucić gospodarce naszego prezydenta, a zarazem prezesa Koła polskiego, d-ra Juljusza Leo, trudno nie przyznać, że miasto poszło naprzód co do cywilizacji i zmierza dalej w tym kierunku. Przyznają to i nieprzyjaciele polityczni naszego burmistrza, który zresztą mierzy ku tece i wkrótce porzuci zapewne swą siedzibę krakowską, aby zamienić ją na salony ministerjalne w Wiedniu. Następcom jego nie przypadnie łatwe zadanie — ale będą je musieli podjąć i prowadzić dalej, bo Kraków należy do Polski i z myślą o narodzie musi być rządzony.

Witold Noskowski.



Starożytna synagoga w Krakowie na Kaźmierzu. (Fot. am. p. Marjana Nowomiejskiego).

Piosnka.

Jakże piosnek mi nie składać,
Kiedy dusza moja śpiewa,
Jako w maju o poranku
Młodym kwiatem strojne drzewa.
Kiedy dla mnie wszystko piosnką!
Złote struny harfy — duszy
Grają, czy się serce śmieje,
Czy też rozpacz łzami prószy.

Janina Olszewska.

Wrażenia z podróży naokoło świata.

II.

ELLIS ISLAND.

Stany Zjednoczone w stosunku do imigracji są w położeniu owej bohaterki fredrowskiej, co to: „i chciałabym i boję się“. Ojcowie kraju radziby zatamować ten niesłychany potok przybyszów, lecz Stany żyją z przemysłu, a przemysł zaciera pulchne rączki i gładzi się po okrągłym brzuszku, gdy dużo głodomorów ściąga, bo to zaraz obniża ceny robocizny. Potentaci więc przemysłowi zawsze będą za przybyszami.

Rzesze robotnicze niezbyt życzliwie na owe krocie przybyszów patrzą, jako na niebezpieczną konkurencję na rynkach pracy, ale nie wypada jakoś wypowiadać się za ograniczeniami, gdy ma się po tylekroć wypisane na sztandarach „Liberty“.

Tymczasem ten najazd, „Immigration invasion“, jak go tu zwą, w ciągu ostatnich lat 90-u doszedł blizko do 30.000.000 głów, to jest tyle, ile wynosi ludność dobrego państwa w Europie (Szwecja liczy 5.000.000 ludności, Holandja 6.000.000, Belgja 7.500.000, Danja 3.000.000, Polaków liczymy 21.000.000).

Potok ten składa się z elementów tak różnoplemiennych, różnojęzycznych, różnowierczych i różnokulturalnych, że, w porównaniu do sal Urzędu Imigracyjnego na Ellis Island, wieża Babel była kochającą się rodziną o cokolwiek mieszanych małżeństwach, co zdarza się nietylko nad Eufratem, lecz i w porzeczu Wisły.

Ta właśnie różnoplemienność budzi poważne obawy o jednolitość ludności Stanów, bowiem ten przyszły „Citizen“ ma być konglomeratem z 50 narodowości, notowanych w tabelach Urzędu. A narodowości te są: Kanadyjczycy, Kubańczycy, Duńczycy, Holendrzy, Anglicy, Francuzi, Niemcy, Irlandczycy, Norwegowie, Szkoci, Żydzi, Hiszpanie, Japończycy, Meksykanie, Szwedzi, Grecy, Bułgarzy, Węgrzy, Walijczycy, Rosjanie, Ormianie, Czesi, Morawianie, Włosi, Polacy, Słowacy, Litwini, Murzyni, Chińczycy, Rumuni, Persowie, Arabowie, Portugalczycy, Finnowie, Turcy, Koreańczycy, Kroaci, Słoweńcy, Serbowie, Horwaci, Dalmatyńcy, Syryjczycy, Egipcjanie, Indusi, Belgowie, Siamczycy, Hawajczycy, Rusini, Szwajcarzy; reszty poddziałów już nie przytaczam, bo dzielą tu Włochów na dwie grupy: południową i północną, Hiszpanów też na dwie: europejską i południowo-amerykańską, Żydów na cztery: niemiecką, polską, rumuńską i rosyjską.



New-York. Statua Wolności.

Wszystkie te, tak sprzeczne nieraz typy, przesuwają się pod sklepieniami wielkiej sali imigracyjnej na Ellis Island, zwanej przez przybyszów „Wyspą Łez“. Jabym ją raczej nazwał „Wyspą Troski“, tu bowiem w rozgwarze tysiąca głosów padnie albo zbawcze, szczęśliwe „All right!“, albo powrót do Europy.

Emigrant, rzucający swą ojczyznę, wcale nie jedzie radosny i pogodny po nową swą dolę. Dręczy go ciągle obawa o dalszy los. W kraju często bardzo spalił wszystkie mosty za sobą, a zbawcze „All right!“ jeszcze tak daleko.

Nasi emigranci przeważnie jadą z Hamburga. Tam żegna ich, jak ostatnia wizja Europy, potwornie posępny posąg Bismarka, zda się cyniczne upostaciowanie potęgi pruskiej.

Łysa, jak trupia czaszka, wzniesiona wyżej nad wieże kościelne głowa patrzy złowrogo nasępionymi oczyma po okolicy. Olbrzymie łapy zaborcze spoczęły chwilowo na głowicy straszliwego miecza. Trzypiętrowej wysokości orły państwowe tulą się do





Emigranci, po opuszczeniu statku, udają się do Urzędu Imigracyjnego. (Fot. am. Al. Janowskiego).

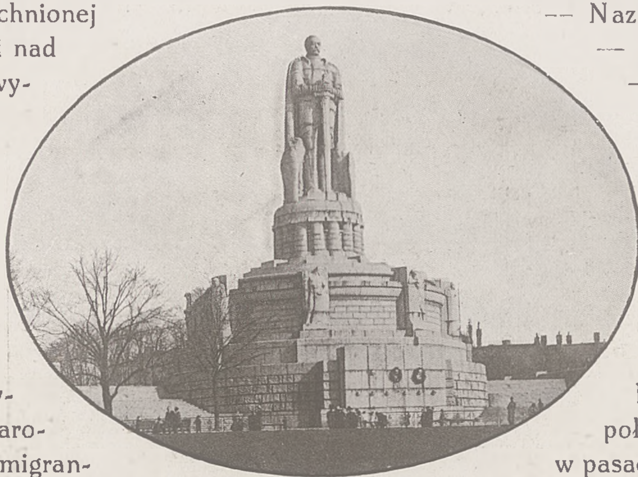
kolan wielkiego kanclerza, co świat cały zakuł w pancerz militaryzmu.

Dookoła pobożny, uczciwy, „odwiecznie“ niemiecki kraj, gdzie stacje kolejowe nazywają się: Starkow, Rybnitz, Stolpe, Gnevkow, Rakow, Teterow, Klotzkau, Sarnow, Babitz, Bukow, Klütz, Krakow, Trawe i setki innych.

Gdym widział Hamburg, wizja tego potworu męczyła mnie po nocach.

Po siedmiu dniach podróży wita emigranta inny posąg: olbrzymiej również wysokości postać kobieca o jasnej, natchnionej twarzy i promiennej aureoli nad czołem. W podniesionej wysoko prawicy goreje pochodnia wolności, druga ręka trzyma księgę praw. To Statua Wolności w porcie Nowego Jorku.

Widzą ją wszyscy pasażerowie parowca. Niema bowiem „okrętów emigranckich“, jak to się myśli w Warszawie: każdy parowiec ma na froncie klasę emigrancką, w środku klasę I, a na tyle okrętu II.



Hamburg. Pomnik Bismarka.

Szczęśliwi pasażerowie obu dostojnych klas przechodzą bardzo lekką rewizję lekarską i wysiadają na ląd. Biednych emigrantów inne czekają koleje: przesadzają ich na Ellis Island do Urzędu Imigracyjnego. Ze strachem i wahaniem stawiają przybysze stopy na lądzie „Wyspy Łez“ i kroczą do sali przez uprzednie rewizje lekarskie. Czasem doktorzy na ubraniu emigranta robią kredą jakiś niepojęty kabalistyczny znak i tak napiętnowany przybysz już nie pójdzie na salę: wezmą go do specjalnych, szczegółowych badań.

Kto jednak przebył pomyślnie owych uczonych cerberów z kawałkiem kredy w ręku, wchodzi do sali na tysiąc osób. Olbrzymie gwiaździste sztandary zwieszają się nad przybyszami, którym służba poleca zająć ławki. Na przeciwnym końcu sali czeka 20 stołów, 40 urzędników, 10 tłumaczów. Przed ich stołami musi przedefilować każdy osobnik.

Narzekają tu na grubijaństwo urzędników tej sali. Ależ oni badają papiery 5.000 — 7.000 ludzi dziennie, ludzi obcych, wystraszonych, drżących, z którymi rozmowa bywa w tym guście:

— Nazwisko?

— Hę?

— Nazwisko?

— Co?

— Jak nazwisko?

— Z Rosji.

— Ja się pytam, jak się nazywacie?

— To mąż powie.

I tak dopiero w kółko. Urzędnicy sprawdzają, ile kto ma pieniędzy. Wszyscy południowcy trzymają pieniądze w pasach, z których wyciągają drżącemi rękoma swoje parę dolarów papierowych przez 12 — 15 minut. Urzędnik się niecierpliwi, emigrant truchleje, traci głowę, gubi papiery, pieniądze, rodzinę—zaiste, że to „Wyspa Troski“. Znajdują tu często po 30 — 50 dolarów, zgubionych przez zdenerwowanego emigranta.

Czasami straszne słowo „powrót“ pada jak grom z jasnego nieba. Przy mnie cofnięto rodzinę włoską z 9 osób, gdyż dziadkowie byli zbyt starzy. Próżno dzieci zaklinały się, że swoją pracą utrzymają staruszków. Nic nie pomogło: mąż, żona, pięcioro dzieci, dziadek i babka wrócili na Sycylję,

gdzie przed wyjazdem wyprzedali się ze wszystkiego. „Stryj Sam“ potrzebuje do fabryki zdrowych tęgich łap z nad Bugu lub Pilicy, z kurpiowskiej puszczy lub krakowskiego błonia, a nie zgrzybiałych starców sycylijskich.

Nie tak się lęka zapewne oceanu chłop polski czy słowacki, jak tych 20 stołów Urzędu. Gdy jednak pomyślnie i to przepłynął, zbiera się gromadą na dziedzińcu Urzędu. Ktoś dźwiga klatkę z papugę, inny tubę od gramofonu: Morawianki w bufiastych spódnicach, Włoszki w niebywałych blaszanych precjozach, Chorwaci z jakiemiś jaskrawemi kuferkami, nasze szare, smętne chłopy, bez uśmiechu, bez pogody, rozbitki.

Wreszcie wywołują każdego z nazwiska i oddają go pod opiekę krewnego, czy przyjaciela, który po niego przyjechał. Rozpogodziły się oczy, duch lepszy wstąpił. Statek z wyspy co godzinę dochodzi do lądu i wyrzuca rzesze, co pomyślnie przeszły wszelkie operacje urzędowe. A już na bulwarze nowojorskim czekają liczniejsze grupy krewnych i przyjaciół.

Tuż obok mnie powitania serdeczne:

— Aleście też kumosiu siedzieli długo w urzędzie!

— A tak nas trzymał urzędnik okrutnie długo.

— A ja mówiłam bratowej, żeby dała mu parę kopiejek toby puścił prędzej.

— Miałybyśta się obie z pyszna, tu nie idzie, jak tam, zaraz sąd i kara za taki jenteres..

I przeszła ta polska gromadka. Gdzie to było to „tam“ — nie wiem, bom nie zapytał, czy kumosia i bratowa były z Poznańskiego, Galicji czy Królestwa.

New York, Kwiecień 1914 r. *Aleksander Janowski.*

Z TEATRU.

Teatr Polski — teatr prywatny, obarczony nieznanymi gdzieindziej na świecie ciężarami natury wyjątkowej, hojnie jednak płaci daninę powinną wielkiej sztuce. Po „Irydionie“ Krasińskiego, po Szekspirowskim „Cezarze“ ujrzeliśmy tam „Balladynę“ — cudną fantazję dramatyczną genialnego poety, wystawioną z pietyzmem należnym utworowi i pisarzowi.

Powiadam — daninę, gdyż zaiste, zwłaszcza wystawienie „Balladyny“ wielkim nakładem kosztów nie było bynajmniej korzystnym interesem walczącego o byt materjalny przedsiębiorstwa, lecz zaiste spełnieniem zaszczytnego obowiązku artystycznego. Kilkanaście zaledwie przedstawień tego arcydzieła naszej poezji dramatycznej niewątpliwie nie pokryło ogromnych sum, wyłożonych na wspaniałą jego oprawę sceniczną, ale szlachetnym ambicjom instytucji stało się zadość. Stało się też zadość potrzebom duchowym pewnej, odczuwającej właśnie te wyższe potrzeby części społeczeństwa i to mianowicie należy zapisać, jako niezaprzeczoną zasługę działalności teatru Polskiego — należy to stwierdzić z całem uznaniem i, powiedzmy otwarcie — z wdzięcznością. Jednak utwory klasyczne powinny się zjawiać stale na repertuarze, ażebyśmy mogli utrzymać ciągłość z tradycjami kultury naszej narodowej, oraz ogólnoludzkiej i... nie dziczeli w atmosferze wyłączności kinematografu oraz produktów jego sprawy życiowej, zaprawiających całokształt twórczości nowożytnej specyficznym zapaszkiem. Inscenizację, tudzież koncepcję strony malowniczo-dekoracyjnej „Balladyny“ powierzono mianowicie zaszczytnie znanemu artyście-malarzowi, Ferdynandowi Ruszczycowi, który znalazł tu istotnie wdzięczne pole dla rozwinięcia zasobów swej fantazji i pomysłowości. Artysta-malarz wniósł tu własne wartości twórcze, jak wnoszą je aktorzy, którzy w zakresie swoich właściwości indywidualnych, to jest talentu i środków technicznych ucieleśniają postaci poczęte w fantazji poety.



Teatr Polski. „Balladyna“. Kirkor u króla Popiela. (Fot. J. Malarski i K. Tavrell).

Przeczytanie poematu w książce daje nam o niem pojęcie niezmącone subjektywizmem innej twórczości. Już w deklamacji każdy akcent, każde pod-



Teatr Polski. „Balladyna". Scena w świetlicy. (Fot. J. Malarski i K. Tavrell).

niesienie głosu należy do dziedziny innej sztuki. W przedstawieniu teatralnem komplikuje się to ogromnie przez czynniki wielorakie. Jak w deklamacji pewne właściwości wypowiedzenia poematu są sprawą najzupełniej indywidualną, tem silniej właściwości osobnicze zaznaczyć się muszą przy wprowadzeniu owych czynników wielorakich. Każdy człowiek, każdy artysta do odtwarzanego dzieła innego artysty dodaje siebie, jak również dodaje siebie, odtwarzając naturę.

„Homo additus naturae". Tak Bakon z Werulamu określał sztukę. Istotnie niepodobna w sztuce najbardziej nawet naśladowczej uniknąć większej lub mniejszej dozy subjektywizmu, grubo też swego czasu łudzili się tak zwani realiści, wyobrażając sobie, że w odtwarzaniu natury potrafili być całkowicie objektywni. Niepodobna również określić stanowczo granic indywidualnej swobody w sposobie interpretowania danego utworu środkami innej sztuki. Jest to poprostu sprawą talentu.



Teatr Rozmaitości. „Na sprzedaż". (Fot. Wł. Sztyblewski).

Przyznać trzeba szczerze, że w przedstawieniu „Balladyny" były momenty przepiękne, zarówno w grze aktorskiej wielu pojedyńczych artystów, jako też pod względem malowniczych efektów całości dekoracyjnej. W tym zakresie wyróżniała się zwłaszcza prześliczna, prawdziwie niby z sagi, czy bajki wyczarowana sala godowa w zamku Kirkora, a przedewszystkiem wprost imponujące jakąś powagą hieratyczną urządzenie sceny sądu w ostatnim obrazie. Ruszczyc w kompozycjach tych wykazał wiele zaiste niepospolitego polotu i nieprzeciętnej pomysłowości.

Z artystów na pierwsze miejsce wysunął się p. Józef Węgrzyn, jako ogromnie mocny w charakterystyce Kostryn. Pani Wysocka, grająca rolę Balladyny, wzniosła się do wyżyn prawdziwie imponującego artyzmu dopiero w tych scenach, kiedy mogła uderzyć w ton wysokiego tragizmu — w scenach rodzajowych kilku pierwszych obrazów zbywało jej na prostocie i wdzięku. Daleko piękniej te właśnie sceny wypadły w interpretacji pani Wandy Siemaszkowej, która kilka razy wystąpiła gościnnie w teatrze Polskim.

Pani Przybyłko-Potocka bardzo dyskretnie prze-

prowadziła postać Aliny. Doskonałym Grabcem był pan Jerzy Leszczyński.

Na wymienienie zasługują jeszcze panie: Starska, Kozłowska, Tatarkiewiczówna i Winiarska, a zwłaszcza pan Szobert, który, jako Pustelnik-Popiel miał stylową linję i barwę.

Wielkiem powodzeniem cieszy się od kilku tygodni oryginalna krotochwila polska, grana znakomicie przez zespół artystów w Teatrze Nowym, a mianowicie „Polka w Ameryce", lekka komedja w 3 aktach Stanisława Kozłowskiego. Pan Śliwiński, dyrektor tego teatru sięgnął wreszcie do twórczości rodzimej i szczęśliwie nie zawiół się na próbie. Lekka komedja Stanisława Kozłowskiego jest wesoła tą miłą, bezpretensjonalną wesołością, która najbardziej szerokiej publiczności przypada do smaku. Teatr Rozmaitości wystawił również nową rzecz oryginalną: jest to sztuka w 4 aktach Jana Adolfa Hertza, „Na sprzedaż" którą znowu zaleca niezwykle doskonała, harmonijna, do najdrobniejszych szczegółów wykończona gra artystów. Nikt się tu nie wyróżnia i nie wybija — wszyscy razem dają zgodny koncert, jak dobra, świetnie ze sobą zgrana orkiestra.

W sztuce tej występują panie: Żółkowska, Tekla Trapszo, St. Lubicz-Sarnowska, Aniela Bogusławska, Marja Mirska, Felicja Pichorówna i Zofja Trapszowa, oraz panowie: Józef Śliwicki, Wł. Wojdałowicz, Teodor Roland, Biernacki, Brydziński, Uszyński i Kamocki. „Na sprzedaż" reżyserował p. Józef Śliwicki. *Tadeusz Jaroszyński.*

MODA.

WIOSENNE „DERBY".

Wyścigi okraszone dniem „Derby", konkursy hipiczne, pokaźna ilość wytwornych zebrań towarzyskich rautowo-tanecznych — proszone śniadania i obiady i t. d. Oto repertuar i rodzaj zabaw na maj i na czerwiec i t. d., wymagających najróżnorodniejszych tualet.

Pisząc o strojach na wspomniany sezon, trzeba przedewszystkiem uwzględnić tualety wyścigowe. *W zasadzie* powinny one nosić cechę eleganckiego *spacerowego* ubrania. Kaprysem „Mody" i ślepo jej posłusznych hołdowniczek dzieje się jednak — przeciwnie, gdyż wyścigowe tualety są z wyłączeniem zupełnego dekoltu i zupełnie krótkich rękawów, prawie balowe. Mnie osobiście trudno się pogodzić z myślą, aby pole wyścigowe miało przedstawiać dla popisu tualet takie same obramowanie jak sala balowa, a jednak na warszawskiem „Derby" „śmietanka" i ta *prawdziwa* i ta *podrabiana*, ubraną była prawie po balowemu, gdyż widziałam i cieliste pończoszki i atłasowe różowe pantofelki, towarzyszące sukniom ulepionym z gazy, jedwabi i koronek... Jako dodatek już nie balowy... noszą na wyścigach kapelusze z przebajecznymi paradyzami i egretami... Niczem Paryż i Wiedeń — nie mówiąc o Londynie, bo Angielki niezmiernie praktyczne i racjonalne w tualecie, jeżdżą na wyścigi wyłącznie dla gry, dla sportu, a ubierają się wtedy w kostjumy *angielskie*...



Wiosenne „Derby" w Warszawie, — przed trybuną członkowską. Tualety pań *jaśniały* na całej linji. (Fot. Saryusz-Wolski).

Oprócz niektórych ekscentryczności, wogóle jednak stroje na „Derby" były... bajeczne, noszone przez *damy*, w lożach członkowskich i w głównej trybunie. Wśród najpiękniejszych toalet zauważyłam prześliczny strój *Stanisławowej ks. Lubomirskiej.* Ślicznie obmyślony i artystycznie wykończony z przezrocznego jedwabnego kreponu, w tak modnym kolorze granatowym. Kapelusz ze słomy żółtej w tak modnym kolorze „or", piękna fantazja z piór i wspaniałe perły, okalające szyję. Pęk pysznych róż przy gorsie dopełniał całości.

Hrabina Czacka w sukni *moderne-style,* z pięknego żółtego *damas broché,* śliczny kapelusz z gazy różowej, przybrany złotem i całem bogactwem czarnych i białych rajerów.

Karolowa hrabina Skarbkowa w pięknie złożonej tualecie z materji fioletowej *changeant,* czarny słomkowy kapelusz, wspaniała skunksowa etola.

Aleksandrowa Rachmanowowa w tualecie z materji białej w czarne pasy, modne okrycie *cape,* czarna jedwabna z białem podbiciem i wyłogami. Kapelusz przybrany pękiem paradyzów.

Kazimierzowa Olszowska. Bardzo elegancka tualeta *presé,* biała z miękkiej tafty, ślicznie wykończonej, biały kapelusz, białe rajery. *Eliza margrabina Wielopolska.* Wspaniała tualeta czarna jedwabna z fiołkowem przybraniem, czarny płaszcz, przybrany kołnierzem z koronek irlandzkich, czarny kapelusz z paradyzami, wspaniałe perły na szyi.

Ze sfer artystycznych zauważyłam kilka pań bardzo ładnie ubranych. Wyróżniały się tualety:

P. Lucyna Messalówna w oryginalnej sukni (model paryski) z białej materji w białe poprzeczne pasy, staniczek przezroczy koronkowy biały. Czarny kapelusz — czarne paradyzy. Na szyi przepiękna kolja z pereł i brylantów.

Pani Pichor w tualecie czarnej, śliczna *cape z mory* czarnej podbita białą materją. Mały czarny kapelusik. *Pani Horwath* w przepięknej tualecie białej ze wspaniałych koronek irlandzkich.

P. Larys-Pawińska w tualecie z tafty białej, bardzo ładnie choć skromnie wykończonej.

Powyższy pobieżny opis jest dowodem jak bardzo starannie i wytwornie ubierają się Panie na wyścigi. *Marcèle.*

NA CZASIE

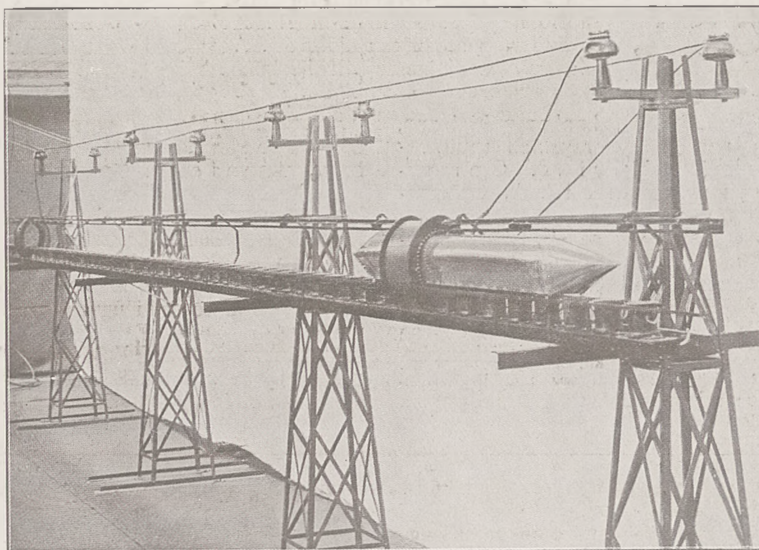
POCIĄG POWIETRZNY.

Francuz, p. Bachelet, po powrocie z Ameryki wystawił w Londynie mały model pociągu elektrycznego, którego pomysł i działanie, według słów gazet angielskich, wzbudziły podziw wielu wybitnych osobistości z tamtej strony kanału, wśród nich Winstona S. Churchilla, pierwszego lorda Admiralicji.

Ten pokaz laboratoryjny istotnie silne sprawia wrażenie. Mały pociąg p. Bacheleta na niczem nie spoczywa, na niczem nie jest zawieszony: pędzi jak pocisk *ponad szyną,* której *nie dotyka,* i skąd idą fale elektryczne, utrzymujące go w równowadze i posuwające naprzód.

Wynalazca ma nadzieję, że zrealizuje szybkość 400—500 klm. na godzinę; obiecuje mały pociąg pocztowy, który w 3 godziny zawiezie listy z Paryża do Marsylji — a następnie takiż pociąg osobowy dla podróżnych, którym... bardzo pilno.

P. Bachelet w pomyśle swym zajął się przedewszystkiem problemem uniknięcia wszelkiego tarcia, wielkiego pochłaniacza energji, i wymyślił cylinder, zawieszony w powietrzu bez żadnego kontaktu i mający do pokonania jedyne tarcie — opór powietrza. Zawieszenie to realizuje, umożliwiając ruch cylindra w *polu magnetycznem,* odpowiednio przystosowanem.



Model pociągu powietrznego, który może pędzić z zawrotną szybkością do 500 kilometrów na godzinę.

Znany jest każdemu z nas fenomen przyciągania lub odpychania, jakie magnes wywiera na pewne metale. Fenomeny te dotychczas mało były spożytkowywane w technologji, z wyjątkiem budowy pewnych maszyn dźwigowych. W niektórych zakładach metalurgicznych używają dźwigów elektromagnetycznych do przenoszenia masy żelaza z jednego miejsca na drugie. Zwykłe „szczęki" dźwigu zastępują tu płyty, połączone z elektromagnesem. Płyty te, przyłożone do ładunku żelaza, po przepuszczeniu przez nie prądu mogą podnieść sztabę żelaza, wagi 2.000 kilo siłą... 3 — 4 koni.

Profesor amerykański, Thomson, zdaje się, pierwszy dowiódł, że można uciec się do siły magnetycznej dla utrzymania przedmiotu w powietrzu w równowadze, bez żadnego oparcia. W czasie wystawy w 1889 roku demonstrował ciekawe doświadczenia w tej dziedzinie.

Wynalazek p. Bacheleta można uważać za nader pomysłową realizację doświadczeń naukowych Thomsona.

Na rycinie naszej widać długi szereg elektromagnesów, rozciągniętych wzdłuż drogi, którą ma przebywać wagon-cylinder, zbudowany z aluminium i zakończony z obydwóch stron stożkami, bardzo ostro wyciągniętymi. Gdy puści się prąd, cylinder ten unosi się zlekka nad szyną i pozostaje w przestrzeni, zachowując równowagę. Z drugiej strony w pewnych odległościach rozmieszczone są solenoidy w kształcie pierścieni. Dzięki innemu znanemu fenomenowi elektrycznemu te pierścienie przyciągają cylinder i w ten sposób posuwają go naprzód.

System kontaktów automatycznych, w których szczegóły, jako zbyt specjalne, nie będziemy się tu wdawać, sprawia, że cylinder, posuwając się naprzód, przerywa za sobą i wywołuje działanie naprzód dwóch prądów, których potrzebuje: *prądu podtrzymującego* magnesów i *prądu posuwającego* solenoidów.

Oto w popularnym zarysie zasady funkcjonowania „pociągu" p. Bacheleta. Oczywiście praktyka pokaże, czy nadzieje wynalazcy sprawdzą się: nie brak sceptyków śród sfer fachowców, którzy nie przepowiadają wynalazkowi powodzenia. W każdymbądź razie sam pomysł wyzyskania *siły magnetycznej* jako trakcji, zamiast pary i elektryczności, jest wysoce interesującym momentem w epoce imponujących wynalazków technicznych, jakiem ostatnie czasy zaćmiewają wszystkie ubiegłe epoki.

KRONIKA.

Tryumfy polskiej śpiewaczki.

Helena *Gilina* (pseudonim), młoda polska śpiewaczka ze znanej na Litwie



WŁADYSŁAW KIŚLAŃSKI,
prezes Muz. Przem. i Roln., of. 100.000 rb. na budowę gmachu dla Kursów Przem.-Roln. w Warsz.



WOJCIECH KOSSAK,
otrzymał nagr. Akad. Umiej. im. Barczewskiego za obraz „Baterja w ogniu" — (patrz str. 17).

rodziny obywatelskiej, uczennica Reszkego, święciła w sezonie ubiegłym tryumfy, jako primadonna, w Sztokholmskiej Operze królewskiej. Prasa sztokholmska w słowach nad wyraz pochlebnych wyraziła się o talencie zarówno wokalnym, jak i dramatycznym młodej śpiewaczki, publiczność zaś szwedzka, zazwyczaj chłodna, przyjmowała ją z całym zachwytem. Mińsk gubernjalny, z którego okolic pochodzi śpiewaczka, będzie miał wkrótce ucztę nielada, bo oto primadonna, zjeżdżająca na wakacje w swe strony rodzinne, ofiaruje Mińskowi jeden koncert na cel dobroczynny. Całe obywatelstwo litewskie podąży skwapliwie, by usłyszeć i podziwiać swego słowika litewskiego w zachodniej szacie wdzięku i kultury. *i.*

Doktorat honorowy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Uniwersytet Jagielloński, chcąc uczcić zasługi Szefa sekcji w ministerstwie oświaty, Ekscel. D-ra Ludwika Ćwiklińskiego, położone dla uniwersytetu a zwłaszcza jego wydziału medycznego, nadał mu tytuł honorowy doktora medycyny. Podkreślić należy, że jest to nie pierwsze odznaczenie, które go spotyka za owocną działalność na polu nauki i jej rozwoju. Pochodząc z Poznańskiego (ur. w Gnieznie w r. 1853) po ukończeniu studjów w Berlinie, gdzie jako dwudziestoletni młodzieniec uzyskał stopień doktora filozofji, już w r. 1876 powołany został do Lwowa na katedrę filozofji klasycznej. Na tem nowem stanowisku rozwinął on szeroką a bardzo pożyteczną działalność — i to nie tylko jako wyborny profesor, kształcący młodsze pokolenie i sam pracujący na polu naukowem, ale też jako szczęśliwy inicjator takich pożytecznych instytucji, jak „Powszechne wykłady uniwersyteckie“ lub „Towarzystwo filologiczne“, którego organ „Eos“ on właśnie powołał do życia i przez długi czas redagował. W r. 1899 został wybrany posłem do Rady Państwa, a na arenie politycznej cieszył się takiem wzięciem, że został wice prezesem Koła Polskiego. Mandat jednak w niedługim czasie złożył, gdyż otwierało mu się nowe pole pracy, mianowicie w r. 1902 powołany został do Ministerstwa Oświaty, gdzie został szefem sekcji i otrzymał referat najważniejszych spraw z zakresu szkolnictwa, a głównie uniwersytetów. W listopadzie r. 1910 otrzymał godność tajnego radcy, z tytułem ekscelencji. W r. 1913 został czynnym członkiem Akademji Umiejętności. W maju 1912 r. otrzymał godność doktora praw c. k. Uniwersytetu Lwowskiego, w maju 1913 godność doktora Wiedeńskiej Akademji Ziemiańskiej — teraz doktora medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego, a przedtem jeszcze doktora weterynarji w Lwowskiej Akademji weterynarji, nie mówiąc już o całym szeregu innych tytułów i odznaczeń — jakie z wdzięczności za przysługi, przez Ćwiklińskiego wyświadczone, rozmaite instytucje mu nadały.



J. E. ks. Józef Sebastjan Pelczar, biskup przemyski, w związku z 50-letnim jubileuszem swego kapłaństwa zwołuje synod djecezjalny. Ojciec Święty w uznaniu wielkich zasług dostojnego jubilata, przesłał na jego ręce list z życzeniami i błogosławieństwem apostolskiem. W tym czasie też odbył się w Przemyślu u ks. Pelczara zjazd niemal wszystkich biskupów galicyjskich, celem którego były, oprócz życzeń, ważne narady w sprawach publicznych politycznego znaczenia.

Na zakończenie zaś nie sposób pominąć i tego, że on to zainicjował ruch wśród sfer umysłowych Niemiec, zdążający do zapoznania się bliżej z Galicją, urządzając odpowiednie wykłady, wydając je w osobnej publikacji i organizując wycieczki do Galicji.

Nowi laureaci Akademji Umiejętności.

Nagrodę im. Barczewskiego za najlepszą pracę historyczną, jaka się ukazała w r. 1913, nadała Akademja Umiejętności na dorocznem swem uroczystem posiedzeniu D-rowi Ludwikowi Kubali za ostatnią jego pracę p. t. „Wojna szwedzka 1655—1656“ Lwów. Biblioteka historyczna Altenberga. 1913. Nagrodą tą Komitet Akademji wyraził autorowi tej pracy uznanie nie tylko za tę rzecz ostatnią, ale i za całą jego na polu historjografji, działalność, która trwa już od bardzo długiego czasu, datuje się bowiem od przeszło 40 lat. Dr. Kubala, urodzony 9 września 1838 r. w Kamienicy koło Nowego Sącza, studja uniwersyteckie odbywał w Wiedniu i Krakowie. Z powodu udziału w wypadkach 1863 r. uwięziony, z trudem potem otrzymał posadę nauczyciela gimnazjalnego, którą piastował do r. 1906. Działalność swą naukową na polu historji rozpoczął dziełem p. t. „Stanisław Orzechowski“ (Lwów 1870). Największy jednak zyskał sobie rozgłos swymi szkicami historycznymi, których wyszło kilka serji; odnoszą się one do czasów Władysława IV i Jana Kazimierza. Te studja właśnie dały impuls Henrykowi Sienkiewiczowi do napisania Trylogji. Z szkicami tymi wiąże się w jedną całość i nagrodzona obecnie „Wojna Szwedzka“, a że czcigodny autor w dalszym ciągu w pracy swej nie ustaje, więc jest nadzieja, że w niedługim czasie ukaże się zamknięcie tej części dziejów naszych, którą wielki nasz powieściopisarz „Potopem“ nazwał.

Nagrodę również im. Barczewskiego otrzymał znakomity nasz batalista Wojciech Kossak za obraz „Baterja w ogniu“, reprodukowany w jednym z zeszytów naszego pisma.

Nagrodę z fundacji Konstantego Simona przyznała Akademja Umiejętności prof. uniwersytetu lwowskiego, D-rowi Konstantemu Zakrzewskiemu za wyniki badań nad optycznemi własnościami metali, zebrane w rozprawie p. t.: „O dyspersji i ekstynkcji światła w metalach“. Profesor Zakrzewski urodził się w Warszawie 1876 r., gdzie też uczęszczał do V gimnazjum; maturę zdawał we Lwowie, a na uniwersytet chodził w Krakowie, gdzie kształcił się w naukach przyrodniczych pod kierunkiem Wit-



Wielka katastrofa okrętowa. Odjazd amerykańskiego statku „Empress of Ireland“ w drogę, z której nie miał już wrócić. W górze kapitan nieszczęsnego okrętu, G. H. Kendall.



Popis szkoły baletu przy teatrach rządowych warszawskich, — patrz str. 21. (Fot. Wł. Sztyblewski).

kowskiego i Natansona. Tam też zdał doktorat. Następnie wyjechał na dalsze studja do Holandji, gdzie w Lejdzie został asystentem słynnego fizyka Kamerling-Ones'a i prof. Lorenza, obu odznaczonych nagrodą Nobla. Po powrocie habilitował się w Krakowie i tam też otrzymał nadzwyczajną katedrę. W zeszłym roku powołany przez Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, objął po prof. Smoluchowskim zwyczajną katedrę fizyki matematycznej.

Ogłosił szereg prac z zakresu termodynamiki i optyki. Między temi ostatniemi: o mierzeniu eliptyczności światła i o własnościach optycznych metali.

Wród nowomianowanych na temże posiedzeniu nowych zwyczajnych członków Ak. Umiej. znajdujemy nazwisko prof. historji lit. polskiej na Wszechnicy Jagiell., Ignacego Chrzanowskiego, znanego dobrze naszemu społeczeństwu za swej działalności naukowo-pedagogicznej i literackiej w Warszawie.



Dr. LUDWIK ĆWIKLIŃSKI otrzymał honorowy doktorat Uniwersytetu Jagiellońskiego. Patrz str. 17.



Dr. LUDWIK KUBALA otrzymał od Akad. Umiej. nagr. im. Barczewskiego za najlepszą pracę historyczną, — patrz str. 17.



Prof. IGNACY CHRZANOWSKI, profesor Uniw. Jagiel., został mian. zwycz. członkiem Akad. Umiejętn. Patrz str. 17.



Dr. KONSTANTY ZAKRZEWSKI, otrzymał od Akad. Umiejętn. nagr. im. Simona za wyniki badań nad optycznemi własn. metali, — str. 17.

Dla dziatwy poznańskiej.

Pożyteczna działalność Tow. kolonji wakacyjnych i stacji sanitarnych „Stella" w Poznaniu, dzięki gorącemu poparciu obywatelstwa wiejskiego, piękną uwieńczona została dnia 22 maja uroczystością. Dnia tego poświęcił ks. biskup dr. Likowski rozszerzony zakład stacji sanitarnej dla biednej dziatwy miejskiej w Kobylnicy, położony pod Poznaniem w lesistej, pięknej okolicy.

„Stella", założona w r. 1897 ku uczczeniu śp. Franciszka Dobrowolskiego, b. redaktora „Dziennika Poznańskiego", wielkiego przyjaciela i opiekuna dzieci poznańskich, zajmuje się od lat 17 wysyłaniem ubogiej młodzieży szkolnej na wieś do obywatelstwa, do solanek w Inowrocławiu i do własnego zakładu w Kobylnicy. Tym sposobem w roku ubiegłym mogło skorzystać ze świeżego powietrza i opieki 712 uczniów szkół poznańskich, nadto stale przebywa w sta-



Komitet i uczestnicy uroczystego poświęcenia stacji sanitarnej w Kobylnicy pod Poznaniem. (Fot. „Camera" — Poznań).



Wychowańcy i kuracjusze stacji sanitarnej w Kobylnicy, utrzymywanej przez Tow. „Stella" w Poznaniu. (Fot. „Camera" — Poznań).



Poświęcenie elektrowni w mieście-ogrodzie Ząbki. Uczestnicy uroczystości poświęcenia elektrowni w Ząbkach, przedstawiciele wielu instytucji społecznych, z prezesem Tow. Akc. „Miasto-Ogród Ząbki", Adamem hr. Ronikierem (×) na czele.

cji sanitarnej 22 dzieci słabych lub rekonwalescentów, zmieniając się co miesiąc. Dotąd skorzystało z dobrodziejstwa T-wa 11742 dzieci.

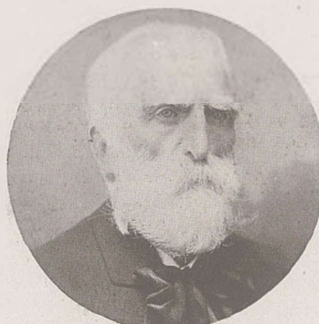
Współudział wszystkich warstw dla pełnienia dzieła miłosierdzia zaznaczył się żywo podczas pobytu ks. biskupa Likowskiego w Kobylnicy. W uroczystości wziął udział wydział opiekuńczy „Stelli": Księżna Ferdynandowa Radziwiłłowa, księżna Zdzisławowa Czartoryska, Józefowa Kościelska, Marja Radlicowa i Eliza Stablewska, oraz zarząd, który tworzą pp. Wł. Jerzykiewicz, W. Łebiński, J. Suchowiak, Dr. T. Dembiński i B. Ziętkiewicz. *J.*



Ś. p. ks. IGNACY DUDREWICZ, prałat kapituły metropolitalnej warszawskiej, proboszcz parafji praskiej.



Ś. p. ks. ADAM d'ACCAULT AKKO, kanonik honorowy kapituły mohylewskiej, rektor kościoła Maltańskiego w Petersburgu, — patrz str. 20.



Ś. p. ADOLF SONNENFELD, kapelmistrz i kompozytor, od lat 57 stale pracujący na polu muzycznem w Warszawie, — patrz str. 20.



Ś. p. WŁADYSŁAW DIETRICH, utalentowany artysta-malarz, jeden z bardziej cenionych pejzażystów. Patrz str. 20.

ZMARLI.

Ś. p. ks. Ignacy Dudrewicz.

Przeżywszy lat 77, zmarł w Warszawie znany kapłan, ś. p. ks. prałat Ignacy Dudrewicz, proboszcz parafji Praga. Po ukończeniu szkół, seminarjum warszawskiego i akademji duchownej w Petersburgu, otrzymuje stopień kandydata św. teologji i święcenia kapłańskie w r. 1860. Kolejno zajmuje ś. p. ks. Dudrewicz stanowisko sekretarza konsystorza metrop., rektora kościoła św. Józefa Oblubieńca w Warszawie, a w r. 1878 zostaje proboszczem praskim. Pełni następnie obowiązki dziekana dekanatu warsz., zostaje kanonikiem kapituły kolegjalnej łowickiej, prałatem tejże kapituły, kanonikiem kapituły metrop. warsz. i następnie jej



Opanowanie Sahary. Podczas uruchomienia pierwszego pociągu ludność miejscowa wita ze sztandarami religijnymi francuskiego ministra wojny.

prałatem-scholastykiem. Jako proboszcz praski, ś. p. ks. Dudrewicz przyczynił się energją i zabiegliwością do wzniesienia wspaniałego kościoła św. Florjana, tak bardzo potrzebnego dla wielkiej parafji, przez niego zarządzanej.



Pierwsze użytkowanie kanału panamskiego. Przed uroczystem otwarciem kanału odbywają się próby, uwieńczone, jak dotychczas, świetnym rezultatem. Na rycinie widzimy pomocniczy okręt Stanów Zjednoczonych, „przeciągany“ przez kanał za pomocą dwuch elektrycznych lokomotyw.

Ś. p. Ks. Adam d'Accault Akko.

W Petersburgu rozstał się z tem życiem ś. p. ks. Adam d'Accault Akko, kapłan wielkich zalet umysłu i serca. Ś. p. ks. Akko ur. się w r. 1863, po skończeniu szkoły realnej, narazie obrał drogę techniczną, lecz wkrótce poszedł za głosem powołania i wstąpił do seminarjum w Petersburgu, a następnie do akademji duchownej, którą ukończył ze stopniem magistra św. teologji. Święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1888. Po ukończeniu akademji wyjeżdża jeszcze na dwuletnie studja za granicę, a po powrocie w r. 1890 zostaje profesorem akademji duchownej w Petersburgu. W r. 1903 otrzymuje nominację na proboszcza katedry mińskiej i dziekana tamtejszego, po dwuch latach jednak wskutek nieprzyjaznych okoliczności opuszcza Mińsk i powraca do Petersburga, a w r. 1907 zostaje kapelanem wojsk gwardji okręgu petersburs. W 1909 otrzymuje godność kanonika honor. kap. mohyl. i w tymże roku — rektorat kościoła Maltańskiego w Petersburgu. W r. 1911 podjął ks. Akko po ks. Łozińskim wydawnictwo „Wiadomości kościelnych“.

Ś. p. Adolf Sonnenfeld.

Znaną była w Warszawie charakterystyczna postać zmarłego w tych czasach kapelmistrza i kompozytora, ś. p. Adolfa Sonnenfelda. Zmarły urodził się we Wrocławiu w r. 1842, a już w r. 1855 przyjechał na stałe do Warszawy, gdzie początkowo grywał jako członek orkiestr i udzielał lekcji muzyki. Wkrótce założył własną orkiestrę, z którą dawał koncerty popularne w dawnej „Harmonji“. Około r. 1868 koncertował w ogrodzie Ohma, a w r. 1869 rozpoczął koncerty w Dolinie Szwajcarskiej i jeździł ze swą świetnie wyszkoloną orkiestrą na koncerty do Wilna, Kowna, Rygi, Wrocławia i t. d. Wyróżnił się też jako dyrektor orkiestry i operetki w b. teatrze ludowym w Warszawie.

Wśród dorobku kompozytorskiego Sonnenfelda zasługuje na uwagę muzyka do baletu „Meluzyna“ i „Pan Twardowski“, a z większych dzieł „Świtezianka“, „Fierita“ i „Albrecht Dürer“; pozatem napisał muzykę do wielu operetek i melodramatów. Po 57 latach ciężkiej artystycz. pracy na polskiej ziemi, zmarł w niedostatku, jeżeli nie w prawdziwej biedzie.

Ś. p. Władysław Dietrich.

Na Podolu w Kudejowcach, dokąd wyjechał na letnie studja, zmarł nagle na anewryzm serca znany tutejszy artysta-malarz, ś. p. Władysław Dietrich. Zmarły był cenionym pejzażystą, który



LUCJAN KSIONEK, dyrektor siedleckiego Tow. muzycznego. Patrz str. 21.

w dzieła swe wlewał szczere uczucie, silnie podkreślając psychologiczny nastrój w ujęciu danego momentu każdego



HELENA GILINA (pseudonim), młoda polska śpiewaczka, występowała jako primadonna w Sztokholmskiej Operze, — patrz str. 16.

ze swych pejzażów. Ś. p. Dietrich urodził się w Warszawie w 1862 r., gdzie też po skończeniu nauk ogólnych, wstąpił do szkoły rysunkowej, poczem odbył studja w Krakowie w tamtejszej szkole Sztuk Pięknych. Z Krakowa wyjeżdża do Monachjum, do akademji sztuk pięknych, a w r. 1892 studjuje w Wiedniu pod kierunkiem słynnego dekoratora Kautzkiego Uczeń Gersona i Matejki, po ukończonych studjach, poświęca się przez kilka lat pracy artystycznej w Krakowie, a od r. 1897 osiada na stałe w Warszawie, gdzie wystawia szereg prac przedewszystkiem w Tow. Z. S. P. oraz w innych tutejszych salonach. W zmarłym tracimy pełnego talentu artystę i człowieka najpiękniejszych zalet charakteru.

VARIA.

Trzy listy Joanny d'Arc.

W jednym z ostatnich zeszytów znanego paryskiego dwutygodnika *Revue des Deux Mondes* potomek Joanny d'Arc i znany badacz historyczny, hr. Maleyssie ogłasza znalezione w archiwum miejskiem w Reims trzy własnoręczne listy Dziewicy Orleańskiej i inne dokumenty, rzucające nowe światło na postać bohaterki. Dokumenty te stwierdzają raz jeszcze haniebne pobudki, które skłoniły Anglików do wytoczenia jej procesu o czary, zakończonego, jak wiadomo z historji, spaleniem natchnionej patrjotki francuskiej na stosie w Rouen 30 maja 1431 roku.

Pierwszy jej własnoręczny list, obecnie dopiero odnaleziony, wystosowany jest do mieszkańców miasta i zawiadamia ich o oblężeniu i zajęciu twierdzy Saint Pierre le Montier Pismo Joanny, aczkolwiek zupełnie czytelne, wskazuje rękę niewyrobioną jeszcze: znać, że litery stawiała początkująca uczennica trudnej sztuki pisania. Drugi list, z datą 17 marca 1430 roku, pisany w cztery miesiące później, również do mieszkańców Reims, wykazuje rękę znacznie więcej wyćwiczoną; to samo można powiedzieć o trzecim z tegoż roku. W dalszym ciągu swego referatu hr. Maleyssie przypomina historję wzięcia bohaterskiej dziewicy do niewoli przez Anglików, podając nowe nieznane dotąd szczegóły, wreszcie maluje proces o praktyki czarnoksięskie, w którym przekupstwo i nikczemność wysilały się, by pojmanego wodza-kobietę pozbyć się skazaniem na stos jako czarownicy. Wiadomo, że niektórzy historycy — racjonaliści starali się przedstawić oswobodzicielkę Francji jako średniowieczną histeryczkę. Zachowanie się Dziewicy Orleańskiej podczas procesu i wykonania wyroku, na podstawie znalezionych dokumentów,

przedstawia ją w świetle tej aureoli bohaterstwa i nieugiętości, jaką tradycja promienną postać Joanny d'Arc otoczyła i przekazała pamięci wieków.

Nieznana piękność z wosku.

Dyskusja, jaka powstała dokoła słynnego biustu woskowego „Leonardo da Vinci", zakupionego przez d-ra von Bode dla cesarskiego muzeum w Berlinie, zwróciła uwagę publiczną na wielkiej wartości dzieło w Muzeum Wicar'a w Lille, które przez wiele lat wzbudzało zachwyt wszystkich miłośników sztuki. Ta głowa nieznanej piękności, była przedmiotem specjalnego studjum Bourgeta, a Aleksander Dumas syn był tak nią porwany, że, jak powiadają, kazał sobie z niej zrobić doskonałą kopję — i owa głowa tajemnicza stała się dlań jego Egerją. „Odkrycie" tego biustu z wosku odnieść należy nie dalej, jak do początków ubiegłego stulecia, kiedy malarz Wicar, uczeń Davida, przedsięwziął podróż po Włoszech, podczas której zgromadził kolekcję dzieł sztuki i ofiarował ją rodzinnemu miastu, Lille. W sporządzonym przez siebie katalogu Wicar opisuje ów biust woskowy, jako z czasów Rafaela pochodzący; jednocześnie w oficjalnym katalogu muzeum zaznaczono wpływ raczej *Leonarda da Vinci* niż *Rafaela*. Draperja i podstawa biustu były, jak ustalono, dodane do głowy i szyi później, w osiemnastym wieku.

Cuda kultury ogrodniczej.

Ogrodnicy w produkowaniu nowych odmian roślin znają dwa sposoby: albo dobierają silne dziczki i hodują je w sposób specjalny, albo łączą ze sobą różne rośliny przez opylanie kwiatów jednych pyłkiem drugich. Otrzymanie nowej odmiany nie należy do rzeczy łatwych: wymaga prócz gruntownej wiedzy wielkiej cierpliwości i wielokrotnych prób, podobnie jak w sferze wszelkich doniosłych wynalazków. W Ameryce mieszka uczony ogrodnik Berbank, który wyhodował aż 2500 odmian roślin — pracy tej poświęcił też całe swe życie. Rezultaty krzyżowań hodowlanych przedstawiają się w wielu razach istotnie zdumiewająco: Berbank wyhodował np. nową odmianę śliwki, dochodzącej rozmiarami średniej wielkości jabłka, a pestki tego owocu pozbawione są twardej powłoki. Odmiana ta daje więcej owoców niż inne — to też rozpowszechnia się coraz bardziej. Udało się też temu ogrodnikowi otrzymać orzechy włoskie bez skorupy, pokryte tylko cienką i miękką skórką. Nietylko w dziale owoców osiągnął Berbank wyniki zdumiewające; wyprodukował on również wiele zupełnie nowych odmian kwiatów, np. róże barwy błękitnej. Z kaktusów, roślin, dotychczas bezużytecznych, wyhodował on nowy gatunek pozbawiony charakterystycznych kolców, soczysty i smaczny. Z tego „kulturalnego" kaktusa podobno można pędzić spirytus w znacznej ilości. Berbank nietylko udoskonala istniejące, lecz tworzy zupełnie nowe rośliny: do takich należą nowe, wielkie i smaczne jagody, powstałe z połączenia malin z pewną odmianą jeżyn.

Jak widzimy, amerykański ogrodnik zbogacił florę okazami, które wyglądają na swego rodzaju „cuda" przyrody, ujarzmionej wiedzą i pomysłowością człowieka.

NOTATNIK.

Teatr, muzyka i sztuki plastyczne.

☐ Koncertująca w Dolinie Szwajcarskiej orkiestra włościańska pod dyrekcją Namysłowskiego przyciąga tłumnie publiczność do tego miłego letniego salonu Warszawy. Zaznaczyć należy, że dzielna orkiestra, niezrównana w odtwarzaniu sympatycznych swojskich popularnych utworów, wykazała również świetne wyćwiczenie zespołu w koncertach symfonicznych, to też niedawno, po jednym z takich koncertów, grono poważnych krytyków, muzyków i wielbicielmuzyki złożyło owacyjnie dyr. Namysłowskiemu serdeczne życzenia.

☐ Wielką zasługę na polu kulturalnej, artystycznej pracy położył w Siedlcach p. Lucjan Ksionek, dyrektor zespołów siedleckiego Towarzystwa muzycznego. W ciągu niespełna rocznego okresu czasu dyr. Ksionek zorganizował i wyszkolił chóry i orkiestrę, urządzając perjodyczne koncerty i poranki, cieszące się niebywałą w Siedlcach popularnością. Dn. 23 maja dyr. Ksionek był przedmiotem owacyjnego przyjęcia ze strony publiczności na swym koncercie benefisowym.

☐ Około 13000 osób było na trzydziestu kilku przedstawieniach „Prokuratora Hallersa" w teatrze Małym. Takiego powodzenia, osiągniętego dzięki arcyznakomitej grze Kamińskiego w roli tytułowej, dawno już nie notowano w tym sympatycznym teatrze. Żeby nie szczupła widownia teatru, bezwątpienia należałoby do powyższej liczby zastosować mnożnik 2,5 (przy normalnej dla teatrów ilości miejsc 1000, gdy Mały posiada ich 400). Dyr. Zalewski zawarł z Kamińskim umowę również i na przyszły sezon, zobaczymy więc jeszcze świetnego artystę w szeregu niezrównanych jego kreacji.

Przez sezon letni artyści teatru Małego grają na udziały, pod dyrekcją p.p. Ryszkowskiego, Kuncewicza i Świeściaka.

☐ Szkoła baletu Warsz. teatrów rządowych, której grono profesorskie tworzą p.p.: Rutkowska, Rządcówna, Spałkowska, Gillert i Walczak, wystąpiła z dorocznym publicznym popisem. Popis wypadł znakomicie, tak w tańcach zbiorowych, jak i w występach solistów. Młodociani adepci i adeptki sztuki choreograficznej robią wrażenie bodaj że skończonych artystów a nie kształcących się jeszcze w tym kierunku uczniów, a cóż tu dopiero mówić o wyszkolonych młodocianych balerinach, które są już „na odlocie" ze szkoły baletowej. Tak świe-

NA DOBIE.

WIELKI POŚPIECH, MAŁY KAPITAŁ, czyli... wystawa krajowa przemysłowo-rzemieśln. w r. 1915.

Gdy zaczął się krystalizować poważnie podjęty projekt w łonie Centr. Tow. Rolniczego urządzenia w r. 1915 wystawy „Wieś polska", której to sprawie poświęcony był specjalny artykuł w poprzednim XI numerze *Wsi i Dworu,* z niemałem zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że jakoby „dochodzi do skutku" projektowana na tenże rok krajowa wystawa rzemiosł i przemysłu polskiego...

Urządzenie tak potrzebnej i tak bodaj nieodzownej wystawy, jak „Wieś polska", wystawy której dotychczas nie mieliśmy i której społeczeństwo z prawdziwem zainteresowaniem się wyczekuje, jest w obecnej chwili nietylko że uzasadnionem lecz i ze względu na zakrój wystawy, przedsięwzięciem najzupełniej możliwem do przeprowadzenia w ciągu jednego nawet roku. Gotowy pod wystawę teren Agrykoli z pięknym parkiem, wielkim głównym pawilonem, ewentualnie z pozostałymi jeszcze pawilonami po obecnej wystawie samochodów, z pomniejszemi istniejącemi już budowlami i urządzeniami, wszystko to dowodzi, że wystawa ta, nawet na nader szeroką skalę podjęta, nie potrzebuje dłuższych, jak conajwyżej rok trwających przygotowań. Inaczej jednak rzecz się ma z „krajową wystawą" rzemiosł i przemysłu, którą organizatorowie projektują urządzić na powiślu, na placach położonych pomiędzy trzecim mostem a ul. Karową, obejmujących ogólnej przestrzeni 21,000 metrów kw.! Przecież to cała dzielnica... place nie urządzone pod wystawę, gdzie wszystko trzeba byłoby stwarzać i od fundamentów budować... Więc jak pod dotknięciem różdżki czarnoksięskiej miałoby to powstać w ciągu 10 miesięcy? Tak amerykański pośpiech amerykańskich miljonów potrzebuje, a nie projektowanych na to 400.000 rb., na które, nawiasem mówiąc, wpłynęło deklaracjami... 21.500 rb. i nie wiadomo czy jeszcze wiele więcej wpłynie. A organizatorowie głoszą, że wystawa musi odbyć się w r. 1915, gdyż w r. 1916 będzie wystawa w Moskwie, a w r. 1918—1920 projektowana jest wielka wystawa przemysłowo-rolnicza w Warszawie. Ależ właśnie ta ostatnia wystawa, celowo podjęta w powołanych do tego sferach, której organizacja obliczona jest na lat kilka, niezbicie dowodzi, że wystawa o podobnym mniejwięcej zakresie nie ma najmniejszej racji bytu w przyszłym 1915 roku, i tylko zaszkodzić może tamtemu naprawdę poważnemu przedsięwzięciu, nie z tandeckim pośpiechem organizowanemu. Jeżeli głos rozsądku nie podyktuje organizatorom, zacietrzewionym do wystawy na rok przyszły, że winni od niefortunnego projektu odstąpić, miejmy nadzieję, że uczyni to „siła wyższa", którą w danym razie będzie... brak funduszów, gdyż wątpić należy, żeby na podobne budowanie zamków na lodzie znalazły się w naszem społeczeństwie większe kapitały.

A tymczasem jednak tłucze się po Warszawie niefortunny projekt, szachując wystawę „Wsi polskiej" i wyprowadzając kolubryny przeciwko wielkiej wystawie przemysłowo-rolniczej w r. 1918 a najdalej w 1920-ym.

Napisał ktoś tam w Niemczech farsę „Polskie gospodarstwo", a my tu w kraju sami tworzymy tragedję pod tymże tytułem... *Scriba.*

tne wyniki należy przypisać z jednej strony wyjątkowemu uzdolnieniu zespołu uczniów, z drugiej—znakomitemu kierownictwu profesorów.

☐ W dn. 8 b. m. odbyły się w Warszawie popisy czy, jeśli kto woli, „pokazy" gimnastyki rytmicznej, uprawianej według słynnej i świetnej metody Dalcroze'a w dwóch szkołach specjalnych w naszem mieście: pp. Janiny Mieczyńskiej i Franciszki Kutnerówny. Nie będziemy tu przypominali czytelnikom idei i metody Dalcroze'a, poświęciliśmy bowiem tej doniosłej zdobyczy nowoczesnej pedagogji muzycznej dwa obszerne artykuły w ostatnich miesiącach (№ № „Karnawałowy" i „Wiosenny"). Z radością zaznaczamy, że praca w tym kierunku pań Mieczyńskiej i Kutnerówny wydała nader piękne i owocne rezultaty; popisy dowiodły, że wyrobienie w uczniu poczucia rytmu i słuchu muzycznego, co jest głównem zadaniem szkoły, dało wyniki świetne: dzieci i podlotki (w szkole p. Kutnerówny i dorosłe panny) wykonały cały szereg trudnych ćwiczeń, jak przedstawienia plastyczne muzycznych wartości nut, wyrobienie niezależności członków ciała (wybijanie głową innego taktu, rękami i nogami znowu innych), śpiew w danej tonacji, dyrygowanie z plastycznem oznaczaniem akcentów dynamicznych itd. Szczególną uwagę w popisie szkoły p. Mieczyńskiej zwróciły solfeżia gamy według poddanego akordu (ćwiczenie b. trudne) — w pokazie szkoły p. Kutnerówny, która więcej miejsca niż poprzednia poświęciła studjom plastyczno-muzycznym, wykonanie przez starszą grupę uczenic utworów Schumanna, Griega i melodji dwóch starożytnych tańców polskich. Ten ostatni popis stanowił rzeczywiste widowisko teatralne, nawet dla osób, nie interesujących się specjalnie gimnastyką rytmiczną, ciekawe i piękne, aczkolwiek mimika przy odtwarzaniu gestem i pozą kompozycji muzycznych jest, naszem zdaniem, zbędna.

Znaczenie społeczne gimnastyki rytmicznej jest bardzo poważne; wyrabia ona bowiem w młodzieży poza umuzykalnieniem, pewnością i wdziękiem ruchów, inne jeszcze czynniki pierwszorzędnej wagi w wychowaniu: przytomność umysłu, szybką orjentację, uwagę, skupienie myśli i poczucie gromadzkiej karności — bez czego piękne a trudne popisy, jakich byliśmy świadkami, byłyby niewykonalne.

☐ Salon Richlinga otworzył w Wilnie tymczasową wystawę w sali tamtejszego „Sokoła". Całość ekspozycji robi jaknajkorzystniejsze wrażenie i świadczy o gruntownej znajomości fachu i kulturze artystycznej organizatora, to też publiczność wileńska licznie nawiedza tak celowo i umiejętnie urządzoną wystawę.

☐ Salon „Sztuka" otworzył wystawę „Niezależnych" i „Karykatur". Pierwsza jest nader oryginalnym zbiorem dzieł „poszukującej sztuki" czyli takiej, która szuka nowych dróg i nowych kierunków. Ekspozycje tego rodzaju, bez względu na to, czy dany jakiś kierunek ten lub ów z artystów odnalazł, są nader zajmujące, gdyż dają nam poniekąd poglądowy obraz aspiracji i indywidualnych porywów młodej sztuki. Wystawa „Karykatur" jest znów prawdziwym... salonem śmiechu. Idźcie a poznacie tam wielu waszych znajomych.

Rolnictwo i przemysł.

☐ Zjazd inspektorów rolniczych w Petersburgu wypowiedział się za utworzeniem gubernjalnych komitetów rolniczych, z udziałem przedstawicieli tow. rolniczych, instytucji włościańskich i zarządów rolnictwa. Komitety byłyby tworzone tylko w gubernjach, nie posiadających ziemstw.

☐ Dane urzędowe stwierdzają następujący stan zasiewów w Królestwie Polskiem: gub. płocka, kaliska, lubelska— b. dobrze; piotrkowska, radomska, kielecka i część łomżyńskiej — wyżej niż średnio; podlaskie, powiaty b. gub. siedleckiej, gub. suwalska i zachodnia część gub. łomżyńskiej — średnio. Stan traw i pokosów wszędzie bardzo dobry i spodziewany ich zbiór przewyższy zapewne o jedną trzecią sprzęt zeszłoroczny.

☐ W r. z. powstało mleczarń spółdzielczych, włościańskich: w gub. siedleckiej 10, razem więc z poprzednio istniejącemi 35; w lubelskiej 11, razem 33; w warszawskiej 5, razem 31; w płockiej 2, razem 17; w łomżyńskiej 5, razem 18; w kaliskiej 5, razem 15; w piotrkowskiej 4, razem 11; w radomskiej 2, razem 6; w kieleckiej 1, razem 6.



Kasztany kwitną. (Dokończenie) 3

— Domyślałem się tego, ale niech mi pani wierzy, że lepiej byłoby gdyby pani kogo pokochała. Proszę nie myśleć, że mówię to dlatego by pani mnie pokochała. Jestem dalekim od tej myśli. Proszę pokochać kogokolwiek, ale pokochać, to miłość może pani wrócić równowagę, życie, może wlać nową krew w jej żyły.

— Jakbym ja chciała kochać! — szepnęła.

Przemknęły z głośnym szumem trzy samochody i, wyminąwszy ich, poleciały w ciemną dal. Irena zadrżała.

— Coby to było, gdyby nas zobaczono razem teraz — rzekła nerwowo.

— Nikt nas nie zobaczy!

— Ale gdyby on nas zobaczył!

— Nie zobaczy nikt, pani Ireno — rzekł stanowczo.

— On mnie jednak nigdy nie zdradzał — ciągnęła niespokojnie — tak mi się zdaje...

W dali migotały światełka podmiejskich letnisk. Irena niespokojnym ruchem przygarnęła się do towarzysza.

— Straszno — szepnęła.

— Proszę się nie bać niczego... a może pani chce wracać?

— Nie, nie, tam jeszcze straszniej.

Garnęła się do niego całem ciałem, odurzając go sobą. Panował nad sobą i odchylał twarz od jej włosów, które ślizgały mu się po oczach.

— Niech mnie pan obejmie, panie Zdzisławie.

Objął ją ramieniem i głaskał po głowie jak biedne przerażone dziecko.

Podniosła ku niemu dziwne oczy, z wdzięcznością chyląc twarz ku niemu.

— Niech pan całuje, przecież jesteśmy sami. Nikt nie zobaczy. Pan przecież pragnie ust moich, proszę brać. Za spokój, który płynie ku mnie od pana — daję panu usta moje, oczy.

— Pani Ireno — rzekł zdławionym głosem, opanowując z trudem wzruszenie.

— Niech pani mi powie: ty Iro. Nikt nie słyszy, a ja nikomu nie powiem.

Oczy jej migotały dziko, ale usta były blizko, takie kuszące, takie piękne.

Zdzisław drżał, czując, że spełniłby zbrodnię, gdyby ich dotknął, a dotknąć tak pragnął, tyle lat pragnął.

Samochód wpadł między dwa rzędy wpół uśpionych will i biegł szybko aleją, wysadzoną ciemnemi drzewami. Sieć ich cieni, przetkana światłem elektrycznych latarń, pełzała po ziemi jak żywe mrowisko, ścieląc się pod miażdżące drogę koła, czepiając się ich, jakby wstrzymując i błagając o chwilę zwłoki.

Zdzisław ujął w gorące ręce bladą twarz Ireny i trzymał ją przed swemi ustami, palącą się płomieniem rozgorzałych warg i wrzącą strasznym niepokojem ciemno-złotych oczu. Obiema rękami wyjmowała szpilki z włosów, które opadły mu na ręce połyskliwą, ciepłą falą.

Ku nim, z szaloną szybkością, zbliżały się powracające trzy samochody, napotkane wpierw na drodze. Światła ich latarń gwałtownie zwiększały się i przeciągły gwizd syreny rozdarł powietrze.

Zdzisław już zapanował nad sobą. Odsuwał tą cudną, nieprzytomną prawie twarz od ust swoich.

Nagle blask go oślepił, szalony trzask ogłuszył i stracił przytomność...

Strzaskane dwa samochody przedstawiały bezkształtną masę.

Zdzisław, odrzucony pod drzewa, otworzył oczy, zasypane okruchami szkła; krew przesłaniała mu wzrok. O parę kroków przed nim stały wielkie błyszczące oczy jakiegoś potwora. Dwie latarnie samochodowe wbiły weń swe przeraźliwe ślepia. Czuł szalony ból w kręgosłupie, chciał dźwignąć się na ręku, ale opadł. Po raz drugi odchylił powieki i dojrzał blisko siebie, pod drzewem, bezwładną postać Ireny. Wpatrzył się mozolnie i dostrzegł strzaskaną jej głowę, wargi krwią zalane, czarne powieki, jak śmiertelne całuny na oczy rzucone i olbrzymie długie włosy w krwi i mózgu unurzane.

Stracił przytomność.

Z dwóch pozostałych samochodów wysiadło grono osób strojnych i wesołych. Nikt się nie smucił katastrofą; widać było, że wszyscy są pod dobrą datą i nie zdają sobie sprawy z grozy wypadku.

Wśród tego wesołego towarzystwa znajdował się i pan Zygmunt w towarzystwie dwóch młodziutkich hiszpańskich tancerek. Krokiem chwiejnym podszedł ku leżącym na ziemi; zaciekawiła go postać kobieca, pochylił się ku niej. Twarzy nie można było prawie rozpoznać, ale na rękach błyszczały znane mu dobrze oryginalne pierścienie. Oczom nie wierzył.

— Irena! — szepnął z przestrachem.

Rzucił okiem na leżącego mężczyznę. Zdumienie i wściekłość zabłysły w jego mętnych oczach.

— Ach, podli, nędzni! I to ona, Irena, taka święta, taka nosząca się ze swoją cnotą. Dobrze wam tak, dobrze! Zachciało się oszukać męża, po nocy z kochankiem jeździć! A teraz wszyscy się dowiedzą, jaka była. Na mnie narzekali, a ona jaka! Ot i dobrze!

Ale nagle zdjął go zabobonny lęk przed tą straszną miażdżącą śmiercią.

Ocalony szofer podszedł ku niemu.

I taka maszyna w drzazgi! I troje ludzi na śmierć! Ależ bo i jechał tamten, wskazał zabitego szofera drugiego samochodu, pijany był widocznie! Szkoda tych państwa, taka śliczna pani i taki piękny pan, dziś wieczorem przyjechali z kolei!

Zygmunt stał zacięty, ponury; w piersi jego powstawała olbrzymia, bezsilna wściekłość i rozpacz: rozpacz — niemożliwość zemsty.

Zaszumiał wiatr, przeciągnął poprzez aleję drzew, które nagle zapłakały białokrwawymi płatkami. Posypały się na martwe ciała, spadły na oczy zamkniętę, przylgnęły do ust skrwawionych, przykryły piersi nie tchnące już życiem, wplątały się w przędzę włosów bronzowych.

...Kasztany kwitły...

Helena Pinińska.

Z wiosną.

Witaj mi z wiosną — młodości porywie!
Ogień twój święty znowu w piersiach żywie!
Oto krew bije młotami z purpury —
I w oczach zorze upojenia gorą!
Wołasz mnie, duchu, wzwyż — na żywot wtóry,
Ku nieb rozwartym na ściężaj zaworom —
By żyć z anioły marzenia od nowa!
Wołasz! Nademną twa moc piorunowa!..

O bądź pozdrowion — mocy archaniele —
Za wszystko piękno, co je w ducha wcielę!
Oto-m w bezdennem, jak przepaść, czekaniu
Na snów spełnienia, pełne niepokoju —
Jakbym o życia najsłodszem zaraniu
Z kryształowego pił pragnienia zdroju!
W słońca twarz złotą patrzał, jak w wyrocznię,
Co mi o szczęściu baśń znów prawić pocznie!

Patrz! Z nabożeństwem w zachwycie unoszę
Ręce ku tobie po ułud rozkosze!
Co choć, jak białych łabędzi flotyle —
W głuchych zapomnień odpłynęły kraje,
I zaginęły w szarym czasu pyle —
W sercu je własnem obudzę, umaję!
Upoję krwi swej różami co żywo,
Iżby znów mogły czarów snuć przędziwo!..

Więc mi nie pierzchaj — młodości cherubie!
Karmią twych czynów żywię się i chlubię!
Boś ty najszczodrzej obdarzał mnie w bicze
Pereł radości i w marzeń rubiny!
Otwierał ramion pachnących słodycze!
Bierzmował mocą — i zmazywał winy!
Cisze podściełał pod stopy — gdy pomnę —
Burze szalały ponad głową gromne!..

A było obco nieraz mi — samotnie!
Zdało się, wszystko połamie i potnie
Zły wicher losu w żywota ogrodzie,
Gdziem pierwsze sadził miłowania róże
W czas o poranka majowego chłodzie!
Ale ty wracasz z wiosną — w zórz purpurze,
Jesteś nademną słodką znów władczynią!
Młodości — twoje sny cuda uczynią!!

Władysław Zalewski.

Z LITERATURY.

Maciej Wierzbiński. Pod Mysią Wieżą. Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Choć powieść ta wydana w 1912 roku, warto jednak przypomnieć o jej istnieniu czytelnikom „Wsi i Dworu“, poruszył w niej bowiem autor szereg zagadnień z życiem wiejskiem związanych i dał kilka wyrazistych postaci, przedstawicieli ziemiaństwa, ludu wiejskiego i mieszkańców małego prowincjonalnego miasteczka w Poznańskiem.

Pan Zbigniew Broniewiecki, typ doskonałego obywatela (stanowczo przechwalony przez autora) ma jednak swoje „ale“

i to poważne „ale"... popełnił bowiem krok bardzo nierozważny, który mu zamknąć drzwi okolicznych dworów — przywiózł ze świata piękną włoszkę i nie osadził jej przezornie gdzieś w pobliżu, lecz zamieszkał z nią pod jednym dachem. Włoszka obdarzyła go dwojgiem dziatek i... spotkał ją zwykły los pańskich kochanek — wydano ją za mąż za okolicznego rybaka. Tym chwalebnym czynem nie odzyskał jednak pan Zbigniew straconej pozycji w świecie, gdyż hardego karku nie ugiął przed powagami obolicy, „dzieci grzechu" uznał za swoje i wkrótce zamierzał wyruszyć na wschód po nowy „nabytek".

Opatrzność jednak czuwała nad krewkim młodzieńcem. Poznał w wagonie piękną córkę bogatego sąsiada i... zapłonął miłością od pierwszego spojrzenia. Miłość ta przedziwnie wyszlachetnia „wszetecznika"; zmienia się jego pogański stosunek do kobiety: kocha nie tylko aksamitne ciałko Toni, kocha i jej duszę. Oczywiście taka miłość, no i taki tupet musiały wkońcu znaleźć aprobatę opornego papy. Świetna partja, jaką zrobił niedawny infamis, zamknęła usta najbardziej nawet niechętnym. Broniewiecki wraca skąd wyszedł — do grona szanowanych obywateli. Prawdziwe to wszystko i zabawne.

Smutniejsze są dzieje drugiego bohatera powieści — Lisnowskiego, redaktora prowincjonalnego pisma. Za wystąpienie przeciw członkowi hakaty dostaje się on najniesprawiedliwiej w świecie do więzienia. Po wypuszczeniu na wolność zostaje na bruku, bo wydawcy „Piasta" wolą się pozbyć „skompromitowanego" redaktora. Tu autor, jakgdyby nie chcąc już powiększać dozy cierpień biedaka, zsyła nań pomyślność — żeni go z piękną i zamożną córką gospodarza.

W Wierzbińskim jest jakaś rogata polska dusza, która zwycięsko wychodzi z opałów życiowych. Ni gwałty pruskie, ni obłuda i podłostki własnego społeczeństwa nie pognębią go, nie rzucą w otchłań apatji i goryczy. Tak lekko, pobieżnie przechodzi nad cierpieniami swych bohaterów do ważniejszych spraw życiowych, że wydaje się niezdolnym do tego uczucia. Tak jednak nie jest. On tylko zahartowany jest na cierpienie, bo „polak musi umieć cierpieć", musi przejść twardą szkołę życia i wyrobić w sobie tę siłę męską, odporną, by nie uledz zagładzie. *W. Ch.*

Nowości wydawnicze.

Juljan Ochorowicz: *Liryczna twórczość poetów*. Szkic psychologiczny. (Wydanie nowe, poprawione). Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa.

Aleksander Kraushar: *Stara Warszawa* I. (Warszawa za Stanisława Augusta, 1764—1795). Nakładem księgarni Ferdynanda Hoesicka. 1914.

J. Jensen: *Pani d'Ora*. Powieść (z duńskiego). Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i S-ka, Warszawa, L. Fiszer w Łodzi.

Emma Jeleńska: *Trzy pokolenia*. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa — Lublin — Łódź — Kraków. G. Gebethner i Spółka.

Tadeusz Konczyński: *Bunt*. Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa — Lublin — Łódź — Kraków. G. Gebethner i Spółka.

Artur Gruszecki: *Przebudzenie*. Powieść współczesna. Warszawa 1914. Nakład Kasy Pomocników Księgarskich. Składy główne: Warszawa, Gebethner i Wolff — Kraków, G. Gebethner i Spółka.

Alicja Szamota: *Popielisko*. Powieść współczesna. Warszawa 1914. Nakład Kasy Przezorności i Pomocy Warszaw. Pomocników Księgarskich. Składy główne: Warszawa, Gebethner i Wolff — Kraków, G. Gebethner i Spółka.

Koloman Mikszáth: *Parasol Świętego Piotra*. Przekład z węgierskiego oryginału B. Jaroszewskiej. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa.

Informator dla gości polskich na Pomorzu Kaszubskiem na r. 1914. Świeżo wyszło z druku trzecie z rzędu wydanie tego pożytecznego zbioru praktycznych informacji o polskiem wybrzeżu Baltyku. Na wstępie tegorocznego wydania znajdujemy rzut oka na stosunki kaszubskie i wyjaśnienie celu wydawnictwa. Dalej spotykamy spis bardziej aktualnych wydawnictw zarówno poważniejszych, jak i popularnych, tyczących się Pomorza Kaszubskiego. W dziale adresowym znajdujemy spis polskich stowarzyszeń, pensjonatów, lekarzy, kupców, rzemieślników i t. d. w Sopotach i Gdańsku. Dział informacji o polskich miejscowościach nadmorskich, nadających się na dłuższy pobyt letni, uległ znacznemu rozszerzeniu i zawiera wskazówki obfite i wyczerpujące. Turyści nasi wreszcie znajdą spis polskich gospód i zajazdów oraz adresy osób, mogących im służyć wskazówką lub objaśnieniem o miejscowych stosunkach; spis ten, wielce rozszerzony w porównaniu z wydaniami z lat ubiegłych, obejmuje 71 miejscowości, rozsianych zarówno na wybrzeżu, jak i w głębi kraju na Kaszubach południowych.

W dziale ogłoszeń spotykamy inseraty wyłącznie polskich firm i przedsiębiorstw.

Z czasopism.

Rozwijający się coraz lepiej pod redakcją utalentowanego poety, Remigjusza Kwiatkowskiego tygodnik ilustr. *Głos Polski* w Petersburgu, zawiera w numerach majowych szereg prac, świadczących o celowej i kulturalnej pracy redakcyjnej młodego, a tak pożytecznego dla polaków w Cesarstwie organu. Na szczególną uwagę zasługują artykuły: w n-rze 17-ym Edwarda Ligockiego „Franko-polskie utopie" (o reprezentacji polskiej w Paryżu), który wywołał list otwarty w n-rze 20-ym redaktorów znanego pisma paryskiego *La Vie*, poświęcającego dużo miejsca sprawom polskim, pp. Mariusza i Ary Leblondów; Aleksandra Borowińskiego „W sprawie współżycia kolonji polskich z krajem", Edwarda Bartkiewicza „Polacy w oddali", R. Gozdawy „Kwestja do rozstrzygnięcia" (też dotycząca kolonji naszych w Rosji), Tadeusza Hiża „Pro patria mori", d-ra Wł. Rogowskiego „Tow. Pop. Przem. Ludowego w Kr. Polskim" i Br. Kretowicza „Inteligencja i klasy pracujące na obczyźnie". Poza tymi artykułami, związanymi ściśle z programem pisma, jak również licznemi korespondencjami z ognisk życia polskiego w Cesarstwie, zagranicą i za oceanem — *Głos Polski* nie zaniedbuje urozmaicania treści beletrystyką polską i obcą w starannie redagowanym dodatku „Niwa literacka": wychodzi tu ze zwykłą swadą narratorską pisana powieść Kazimierza Glińskiego „Bonawentura Dzierdziejewski", Maurycego Leblanc'a „Romans młodej dziewczyny", nowele oryginalne i poezje: Wacława Wolskiego, Remigiusza Kwiatkowskiego, Bronisława Kretowicza i innych.

Dodatek do Działu Sportowego.

KONKURSY HIPICZNE w WARSZAWIE.

Okrasą tegorocznych konkursów hipicznych w Warszawie, które na ogół wydały nader słabe rezultaty, było pobicie w 1-ym dniu konkursów, w Championacie skoku na wysokość, rekordu wszechrosyjskiego skoku na wysokość. Rekord ten wynosił 1 m. 92 cm. a pobiło go aż trzech jeźdźców: p. Peretjatkowicz, przesadziwszy na swym „Kingu" przeszkodę 2 m. 5 cent., p. Knaap na klaczy „Marysina" p. Romerowej i p. Panczulidżew na swym „Barynie", przesadziwszy przeszkody, każdy po 2 m.; p. Peratjatkowiczowi przypadła zatem w udziale nagroda za skok na wysokość rb. 300, za pobicie rekordu rb. 1000 i żeton złoty od Warsz. Koła Sport. Następni dwaj jeźdźcy, pp. Knaap i Panczulidżew, również otrzymali żetony złote za pobicie rekordu.

W pozostałych konkursach tego dnia zdobyły pierwsze i drugie nagrody: *Konkurs zwyczajny* (nagr. 600 rb.) 1) „Mingston" Pleszkowa — pod p. von Rummlem i 2) „Dandy"—pod hr. K. Przeździeckim; *Konkurs Myśliwski dla jeźdź. cywilnych* (nagr. 500 rb.) — 1) „Zamoroko" — pod p. Peretjatkowiczem i 2) „Aere Perennius" p. Korybut-Daszkiewicza — pod p. Knaapem.

Dzień drugi konkursów: *Konkurs zwyczajny* (nagr. 250 rb.) — 1) „Kalina" — pod bar. Kruedenerem i 2) „Pipa"— pod p. Gurjewem; *Konkurs Myśliwski* (nagr. 1000 rb. i przedmiot pamiątkowy od A. hr. Potockiego) — 1) „Mon Coeur"— pod p. A. Rodzianką i 2) „Djana" — pod p. Pugowocznikowem; *Konkurs zwyczajny* (nagr. 500 rb.) — 1) „Beata" p. Potockiego — pod p. Bibikowem i 2) „Eros" — pod p. Rodzianką.

Dzień trzeci konkursów: *Konkurs zwyczajny* (nagr. 300 rb.) — 1) „Fly By Night" — pod chanem Nachiczewańskim i 2) „Sumurzon" — pod bar. Bistramem; *Konkurs Myśliwski grupami* (nagr. 500 rb.)—zwyciężyła grupa do której należeli p.p.: Rodzianko na „Erosie", Gurjew na „Pipo", Zahorski na „Cagliostro", Peretjatkowicz na „Zamoroce" i p. von Rummel na „Mingstonie". *Championat skoku na szerokość* (nagr. 300 rb.) dał wynik bardzo niepomyślny; nietylko że nie pobito wszechrosyjskiego rekordu 7 metrów, lecz nawet nie przekroczono obowiązujących 5 metrów. Względnie najlepiej skakał p. Gurjew na „Pipo", za co też otrzymał nagrodę.

Dzień czwarty konkursów: *Konkurs zwyczajny — pocieszenia* (nagr. 300 rb.) 1) „Ernani" — pod p. von Rummlem i 2) „Icek"—pod p. Peretjatkowiczem; *Wielki konkurs Myśliwski* (nagr. 1000 rb. i puhar wędrowny, ofiarowany przez p. T. Dachowskiego, który przechodzi na stałą własność zwycięzcy dopiero po trzykrotnem zdobyciu). 1-szą nagrodę oraz puhar po raz trzeci, a więc na stałą własność, zdobył p. Rodzianko na „Erosie", 2-gą nagr. p. von Rummel na „Mingstonie". *Konkurs zwyczajny — pożegnania* (nagr. 250 rb).— 1), 2) i 3) nagrodą podzielili się p. p. Bibikow na „Beacie" p. Potockiego, chan Nachiczewański na „Fli By Night" i Rodzianko na „Zorabie". *w.*

„Derby Warszawskie".

(KARTKA PAMIĘTNIKA).

22 maja.

Od rana w domu nastrój tragiczny: żonie mojej i córce oświadczono w magazynie, że niewiadomo czy tualety będą na czas wykończone, z powodu przeciążenia pracowni... Zosieczka zapowiedziała, że jeśli nie będzie miała nowej tualety, nie pojedzie na „derby", a jeśli nie pojedzie na „derby" to się rozchoruje, a najukochańsza żona moja Manieczka dostała na zapas migreny. Po południu wezwałem lekarza, który zalecił paniom spokój, spokój i jeszcze raz spokój...

Łatwo mówić o spokoju wobec hiobowej wieści z magazynu.

Dodatkowo zalecił lekarz, jak się tylko pogoda ustali, wyjazd na lipiec i sierpień do Szwajcarji a na wrzesień do Biarritz. Tymczasem do łóżka.

O godz. 7 wieczorem telefon... Magazyn zawiadamia, że tualety będą na czas wykończone...

— Czy aby napewno?—zapytują panie drżącemi głosami.

— Ręczy powaga firmy, — brzmi odpowiedź.

Aby uczcić wieść radosną, wieczerzaliśmy po za domem, przy akompanjamencie muzyki.



Świetnemu lotnikowi, Szpicbergowi, popisującemu się w Warszawie z karkołomnymi wzlotami, dzielnie towarzyszyła, jako pasażerka, p. Mery Mrozińska.



Sandomierskie Koło Sportowe. Grupa nadobnych sportsmenek i dzielnych sportsmenów „na stanowisku" około trybuny sędziowskiej. (Fot. Sarjusz-Wolski.)

23 maja.

Panie upewniły się w magazynie osobiście, że nie doznają zawodu. Nastrój w domu sielankowy.

Manieczka i Zosieczka osobiście sporządziły jakąś bardzo wymyślną legominę. Po południu żona moja grała „tango" a Zosieczka tańczyła „solo".

Wieczorem odbyliśmy konferencję, której tematem były dodatki do tualet. Okazało się, że potrzebne są kapelusze, parasolki i buciki, aby całość była stonowana, zharmonizowana.

24 maja.

Nastrój chmurny, — w powietrzu nagromadziło się sporo elektryczności...

Magazyn obuwia nie gwarantuje czy zdoła wykończyć na termin buciki w barwach żądanych... Dołoży wszelkich starań...

Ale co będzie jeśli nie wykończy? Co będzie? Co będzie?

Kapelusze znalazły się, dla Manieczki z piórami za trzysta pięćdziesiąt rubli, dla Zosieczki skromniejszy z kwiatuszkami, za osiemdziesiąt pięć rubli...

Dziwna rzecz, jak te artykuły tanieją... Nie pojmuję, że magazyny mogą „wyjść na swoje"...

Parasolki także są.

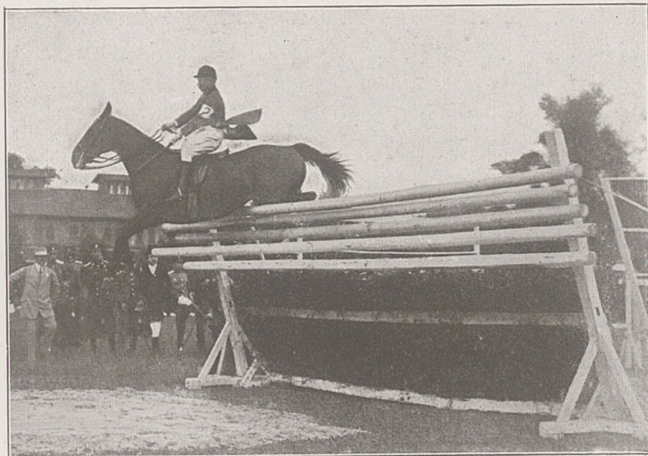
25, 26, 27, 28, 29 maja.

Będzie deszcz, czy nie będzie deszczu?— Oto jest pytanie.

Bo jeśli będzie deszcz...

Tych pytań i hypotez jest pełne mieszkanie nasze, — wyzierają one z wszystkich węgłów, z za każdego mebla, z za każdego obrazu i zwierciadła... Zegary zdają się wydzwaniać: „będzie deszcz, będzie deszcz, będzie deszcz..."

Manieczka na wszelki przypadek ma migrenę, Zosieczka położyła się do łóżka, bo to dobrze robi na cerę...



Konkursy hipiczne w Warszawie. p. Peretjatkowicz na „Kingu" pobił rekord wysokości skoku: wszechrosyjski, oraz austrjacki, przesadziwszy przeszkodę 2 m. 5 cm.



Wyścigi Sandomierskiego Koła Sportowego. Przy celowniku. (Wszystkie fotografje z wyścigów Warsz. i Sand. K. Sp. oraz z konkursów hipicznych, wykonał Sarjusz Wolski).



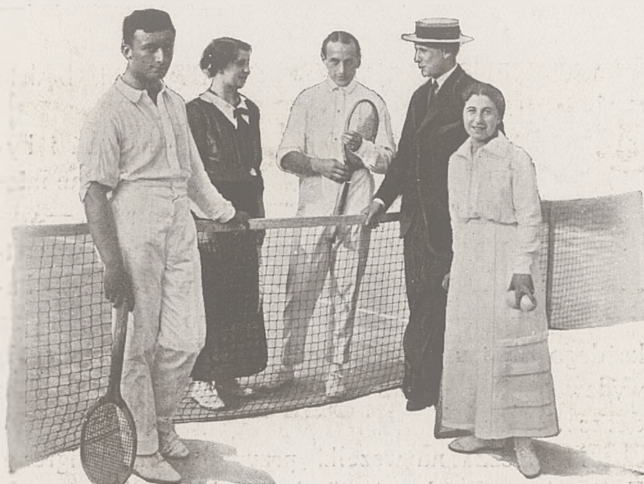
Wyścigi w Warszawie. Na trybunie członkowskiej panie i panowie z wielkiem zainteresowaniem śledzą przebieg „Derby"

30 maja.

Jest wszystko! Jest! Jest! Jest!

I tualety są, i buciki, i kapelusze, i parasolki... Panie przymierzają, wszystko prześliczne, zharmonizowane, stonowane.

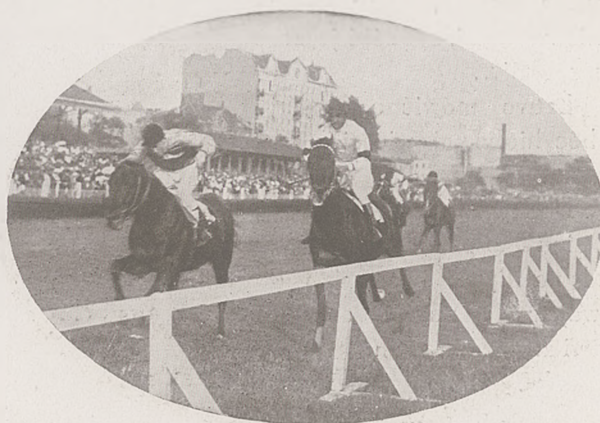
Manieczka pozwoliła mi iść do klubu na „bridge'a", sama zaś poszła wcześnie spać, aby wypocząć... Zosieczka rozumie się także.



Konkursy lawn-tennisowe w Agrykoli: Zasłużony wypoczynek między partjami. (Fot. Sarjusz-Wolski.)

31 maja.

Pochmurno, ale barometr idzie na pogodę... może jakoś wytrzyma... Jedziemy na plac... Panie w pełnym rynsztunku bojowym, a tak pełne skupienia, jak

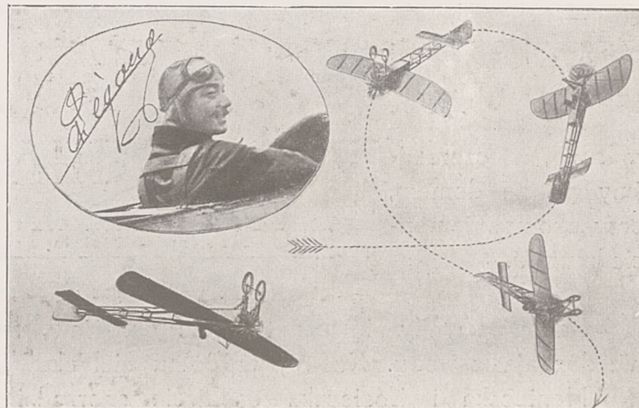


Warszawskie „Derby". Zwycięzca „Dolomit" Łazarewów u celownika

ongi Napoleon, gdy zdążał na walki pod piramidami.

Na placu ścisk, w trybunach tłok, w lożach strasznie ciasno.

Słońce wyjrzało i zrobiło się gorąco. Damy



Znakomity lotnik Pégoud ścinał widzom krew w żyłach swymi „martwymi węzłami."





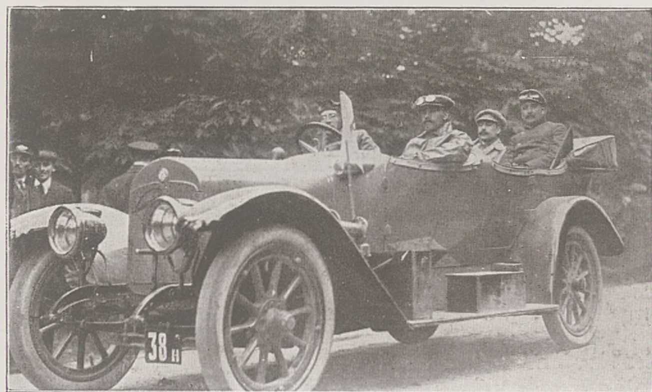
Raid samochodowy T-wa Automob. Król. Polsk. Po lewej stronie: przygotowanie do raidu — pieczętowanie wozów. Po prawej stronie: Start w Warszawie.

tryumfują, są piękne i strojne... Ale po co tu przypłynął ten cały tłum? Bo każe „dobry ton“ asystować przy rozgrywaniu „derby“...

Tylko dlatego, gdyż z punktu widzenia sportowego już większej „mizerji“ jak to „derby warszawskie“ wyobrazić sobie niepodobna. Cztery konie, dwóch właścicieli — barw hodowców polskich brak zupełny. I te cztery konie należą do „klasy“ bardzo średniej... Żokieje ich widocznie są zdania, że dystans 2 w. 144 s. jest dla ich szermierzy za długi, bo żaden nie chce prowadzić gonitwy i rozgrywa się ona dopiero na ostatniej wiorście.



Bieg o nagrodę Cesarską. „Demosthen“ Łazarewów mija celownik.



Jeden z nagrodzonych samochodów, marki Laurin - Klement. (I nagr.)

Nagrodę zdobył „Dolomit“, drugi był „Zaunkönig“, trzeci „Siam“, wreszcie czwarty „Borżom“. Na przebycie dystansu zużyto 2 m. 55 s. Parodja wyścigu klasycznego.

„Derby“ mogło być interesujące, mieć inny



Wycieczka Koła Gimn. Warsz. Tow. Wiośl. do Marysina. (Fot. am. St. Walczaka.)



Ze sportu w Krakowie. Otwarcie sezonu na przystani wioślarskiej „Sokoła.“



Komitet, urządzający tegoroczną wystawę psów w Warszawie. Od lewej ku prawej stronie, w pierwszym rzędzie, p.p.: Grosser, pani Ejsmond, Saenger (przewodniczący); rząd drugi — p.p.: Dzięgielewski, Sztolcman, Ignatowicz-Piłsudzki, Grzędzica, Wysocki, Zarębski i Kurnatowski. (Fot. Różewicz.)



Słynny lotnik Garaix, zwycięzca największej ilości rekordów światowych i panna Helena Werckshagen, pierwsza przedstawicielka płci pięknej, która probowała „rozkoszy" karkołomnych wzlotów z Pegoudem.

przebieg oraz inny wynik, ale jedyny „crack" stajni polskiej, „Alaric Victor" popełnił tak wielką lekkomyślność, że trzy tygodnie przedtem wyszedł do startu kaszląc, wprawdzie wygrał gonitwę, ale nierozwagą swoją przypłacił zapaleniem płuc i musiał wyrzec się dalszych występów.

Dziś rozegrano także nagrodę Cesarską. Już w zimie było wiadome, że zdobędzie ją „Demostenes", co się i stało, klasa bowiem naszych koni tak jest nizka, iż gdy zdarzy się koń lepszy, to współzawodniczy bez konkurencji.

Pomimo braku emocji sportowych większość publiczności czuła się zadowoloną, nie przyszła bowiem, aby patrzeć, lecz żeby się pokazać...

Manieczka i Zosieczka promieniały ze szczęścia, że są takie szykowne, prawdziwe „Articles de Paris"...

1 Czerwca.

Przyniesiono mi „Derby — rachunki"... uf, jakie słone... (przepisał) *Pal.*

Jazda konkursowa na samochodach T. A. K. P.

Setki tysięcy wozów silnikowych przebiega cywilizowane strony świata; na całym zachodzie Europy i w Ameryce jest samochód niezbędnym i najtańszym środkiem komunikacji, używany jest do przewożenia wszelkiego rodzaju towarów i materjałów, służy celom sanitarnym i pożarniczym — jed-

nem słowem, trudno sobie wystawić potężny ruch nowoczesny bez tego wehikułu, w którym żywą siłą pociągową zastępuje motor benzynowy, naftowy lub elektryczny.

Inaczej u nas. Królestwo Polskie na całym swym wielkim obszarze ma uruchomionych zaledwie 500 samochodów. Ogół odnosi się do nich obojętnie lub z niechęcią, przeciętna publiczność uważa zaś samochód jako zbytek i zabawę wielkich panów, którzy dla fantazji rozjeżdżają na szosach psy i kury. Przyznać trzeba, że do słabego rozwoju automobilizmu u nas przyczyniają się jeszcze inne warunki niekorzystne. Automobil podróżniczy, towarowy i służący celom publicznym wymaga dobrych, wzmocnionych dróg. Tych zaś nie posiadamy w kraju ani dziesiątej części w stosunku do wymagań komunikacji i obszaru; nadto te szosy, które pobudowała administracja, znajdują się po części w stanie opłakanym.

Dalszym przyczynkiem słabego rozpowszechnienia samochodów u nas jest brak wytwórczości krajowej. Cło zagraniczne nie jest coprawda tak bardzo wysokie (wynosi około 250 rb. od maszyny), lecz jeżeli się doda brak współzawodnictwa na miejscu, daleki przewóz i trudne warunki zakupu, wreszcie konieczne zmiany przy budowie samochodu na nasze drogi, wóz silnikowy wypadnie zawsze u nas o jakie 30 procent drożej niż w kraju jego fabrykacji.

Wreszcie mało kto zna się u nas na samochodach. Gdy we Francji każdy przeciętny obywatel bez zakłopotania zasiada przy sterze, gdy w Stanach Zjednoczonych prowadzi i czyści swoją maszyną każdy przemysłowiec, nawet lepszy robotnik w fabryce, u nas ogranicza się znajomość samochodu do kilkudziesięciu szoferów i kilkunastu amatorów.

To są w ogólnym zarysie przyczyny, dla których samojazd nie zajmuje u nas tego miejsca, które już przy dzisiejszych wymaganiach co do komunikacji osobistej i handlowej słusznieby mu się należało.

A przecież, chcąc dążyć wraz z innymi krajami po drodze postępu i rozwoju, nie możemy i nie powinniśmy lekceważyć tak ogromnego udogodnienia w sposobach lokomocji i nie wolno nam zamykać oczu na wielkie korzyści, płynące z użytku samojazdu. Weźmy chociażby pod uwagę służbę sanitarną i pożarniczą, uprzytomnijmy sobie prawidłowy bieg interesów za pomocą szybkiej komunikacji handlowej i towarowej, oszczędność czasu — czas to pieniądz, powiada amerykanin, przodujący światu w przemyśle i handlu — wreszcie możność poznawania kraju i ruch podróżniczy, a zrozumiemy, że automobilizm nie jest zabawką, lecz bardzo poważną i aktualną sprawą społeczną.

I z tego punktu widzenia patrzeć winniśmy na jazdy konkursowe, które od dwu lat dążą do spopularyzowania samojazdu w Królestwie Polskiem.

(Dok. nast.) *T. W. J.*

PÉGOUD W WARSZAWIE.

Na życzenie redakcji „Wsi i Dworu" udałem się w niedzielę rano do hotelu „Polonja", gdzie rozbił swe namioty bawiący od dwu dni w Warszawie głośny pilot Pégoud.

Przyjął mię serdecznie i oświadczył gotowość udzielenia wszelkich wyjaśnień.

— W jakim pan jest wieku?

— Liczę lat 24, urodziłem się w Monferrat w departamencie Isère, w południowo-wschodniej Francji. Od roku 18 pełniłem jako wolontarjusz, służbę wojskową; najpierw odbyłem w konnych strzelcach afrykańskich liczne wyprawy wojenne w Tunisie, Maroku, Senegalu i Madagaskarze. Następnie przeszedłem do pułku huzarów, gdzie uzyskałem stopień podoficera, wreszcie służyłem w artylerji kolonjalnej:

— A jakim sposobem dostał pan się z konia do aeroplanu?

— Będąc w szkole kawalerji w Saumur, na ośm dni przed zwolnieniem znalazłem się w centrum awjacji w Ljonie. Tutaj jako pasażer odbyłem pierwszy mój lot na biplanie Maurice Farman. Po powtórzeniu go uczułem wyraźnie, że „przyszłość moja jest w powietrzu".

— Jak pan wykonał swe powołanie?

— Wstąpiłem do szkoły pilotów; po trzech lekcjach ośmiominutowych sterowałem już sam, po 5 lotach instrukcyjnych złożyłem dn. 10 lutego 1913 r. egzamin na pilota.

— Szybka karjera lotnictwa!...

— Nie przeczę. Umożliwiła mi też po wypróbowaniu wszystkich typów płatowców wstąpienie jako chef-pilot do zakładu Blériota.

— Jakie pan miał wtedy zamiary?

— Opanowała mię jedna myśl: chciałem dowieść zupełnego bezpieczeństwa latania w powietrzu i wykazać, że dla człowieka z zimną krwią wszelkie ewolucje na aeroplanie nie przedstawiają żadnego ryzyka.

— Jak pan rozpoczął swe próby?

— Wziąłem zużyty aparat Borela i wzbiłem się na nim w Chatêau Fort na 400 m. w górę. Tutaj wywróciłem go umyślnie i przy silnym wietrze opuściłem się na ziemię, a raczej las, na spadochronie Boneta. Mój płatowiec pozostał 15 sekund w górze, wykonywał rozmaite ruchy i wreszcie upadł.

— Czego pan dowiódł tym sposobem?

— Że lotnik w razie niebezpieczeństwa ma możność ratowania się. Niebawem wykonałem nowy pomysł. Dnia 1 września z. r. wywróciłem mój aparat Blériota na wysokości 1000 m. i opuściłem się głową na dół do 300 m. Powtórzyłem to dnia następnego przed komisją wojskową i lotniczą.

— Tak, i od tej pory datuje się nowa era awjacji!

— W każdym razie przeprowadziłem dowód, że w powietrzu niema dla nas, pilotów niebezpieczeństwa. Niebawem wykonałem systematyczny tego dowód. Planowałem przy zatrzymanym motorze na lewem i prawem skrzydle, głową do aparatu i ogonem na dół i wykonałem wreszcie wywrotu w linji wężowej: looping the loop. Było to w Buc pod Paryżem.

— I pokazał pan...

— Że można ujarzmić powietrze nawet w bardzo niekorzystnych warunkach atmosferycznych.

— Czy zachowuje pan tajemnicę swych ewolucji?

— Bynajmniej; jako chef-pilot miałem dotąd 500 uczniów i wzniosłem się z 1000 pasażerów! nic niema w tem trudnego.

— No, nie wiem, czy pan znajdzie w Warszawie amatora.

— Sądzę, że można mi zaufać. Do tej pory wykonałem looping the loop bez mała 5000 razy i razem wziąwszy, latałem głową na dół dwa dni i pięć i pół godziny. W Moskwie nawet w pozycji stojącej bez przywiązania.

— Musi pan mieć nadzwyczajny aparat.

— I to nie; jest to zwykły Blériot o sile 50 koni z motorem Gnôme. Lecz obchodzę się z nim jaknajstaranniej i nie zaniedbuję najmniejszej drobnostki. To też mimo mych licznych wzlotów nie zgiąłem dotąd ani jednego drutu, nie zgubiłem żadnej śrubki.

— Czem pan się zajmuje poza lotnictwem?

— Niczem: moje myśli wyłącznie są w powietrzu; nieustannie szukam nowych dróg i sposobów zupełnego ubezpieczenia lotów. I w powietrzu czuję się prawdziwie swobodnym i szczęśliwym. Moja dewiza jest: ma terre à moi c'est l'air! W jej wykonaniu widzę zadanie mego życia.

— Gdzie pan latał do tej pory?

— Byłem nieomal we wszystkich najważniejszych miastach Europy. Teraz wracam z Petersburga i Moskwy.

— Długo pan myśli u nas zabawić?

— Około 12 dni i chcę latać conajmniej 3 razy.

— A potem?

— Wracam do Paryża, by pożegnać się ze swoimi i udać się do Ameryki.

— Żegnam p. Pégoud, bo pełno gości w jego pokoju.

— Proszę niech pan zanotuje jeszcze: to co pokazuję, nie są żadne sztuki akrobatyczne; chodzi mi o ujarzmienie powietrza przez człowieka, o zabezpieczenie wzlotów w najtrudniejszych warunkach. Oczekuję i do widzenia w parku Agrykoli.

— z. i. —

KRONIKA SPORTOWA.

Z torów i konkursów hipicznych.

☐ Na wyścigach w Wiedniu, d. 4 czerw. koń Wład. ks. Lubomirskiego „Łom", zdobył nagr. 10.000 koron Taurus-Handicap. Poprzedniego dnia wyścigów tamże „Mości Książę" Wład. ks. Lubomirskiego zdobył również 10.000 koron Wasserturm-Rennen. Tamże Egeria-Rennen 6.000 kor. „Oszczep" tegoż Wł. ks. Lubomirskiego.

W gonitwie o 5.000 kor. pierwsze miejsce zajął „Olkusz" Władysława ks. Lubomirskiego. W gonitwie „Kambuscan" o 20.000 kor. pierwszy był „Poker" Drehera, drugi „Mości Książę" Władysława ks. Lubomirskiego.

☐ Na torze wiedeńskim we Freudenau Derby austrjackie wygrał faworyt „Confusionarius" Szemere'a.

☐ W Budapeszcie Staats - Preis 35.000 k. zdobył „Potiron" bar Springera.

☐ W Charkowie największą nagrodę 3.500 rb. zdobył „Mac Mahon" Łazarewów.

☐ W ostatnim dniu konkursów hipicznych we Lwowie wyniki były następujące: Popisy w skokach, 2.000 kor. „Witeź" bar. Hartwiga. Poza konkursem L. ks. Sapieha na „Husku" był oklaskiwany entuzjastycznie. Popis koni w stępie, kłusie i galopie, dosiadanych przez panie: 1) p. Elly Trolli 2) p. Janinę Obtułowiczównę. Konkurs pocieszenia 1000 k. 1) „Pali" Bethenfalva.

Wystawa psów.

☐ Tow. prawidł.-myśliwstwa urządziło doroczną wystawę psów w Warszawie, na której mogliśmy podziwiać z górą 150 okazów psów rasowych, reprezentowanych przez pinczerki, toy-terriery, pointery, settery, jamniki, charty, ratlery, szpice, foksterjery, dogi, collies, buldogi, bernardy, leonbergi, psy policyjne owczarki i dobermany, i t. d. i t. d. Komitet wystawy składał się z p.p.: Oskara Saengera (przewodniczącego), Wł. Słonczyńskiego, H. Knothego, K. Wigury, J. Zarembskiego, Ign. Grzędzica, Ant. Miernickiego, Jana Sztolcmana, Zdz. Kurnatowskiego i L. Dzięgielewskiego.

„Tir aux pigeons".

☐ Nagrody podczas tegorocznego wiosennego standu Warsz. Koła Sport. wynosiły około 5000 rb. Zaznaczyć należy, że po raz pierwszy odbyło się na warsz. standzie strzelanie do „wyrzutek" (glinianych talerzyków), dzięki p. Stanisławowi de Rozenwerthowi, który snadź kierując się szlachetniejszemi uczuciami, mającemi na celu stopniowe wykorzenianie okrucieństwa, ofiarował rb. 600 na nagrodę w tem strzelaniu. Można też mieć nadzieję że pierwszy ten tak sympatycznie zapoczątkowany krok, przyczyni się chyba do stopniowego wykorzenienia niczem nie dającego się usprawiedliwić barbarzyństwa, które już nieraz, bezskutecznie jednak, piętnowało Tow. Opieki nad zwierzętami.

Lotnictwo.

☐ Lotnik Pelletier robił w Nevers próby ze spadochronem, których wyniki były zadawalające. Żona wynalazcy spadochronu, pani Cavat de Castella dokona tam zlotu przy pomocy tego spadochronu, z wysokości 800 metrów.

Wszelką korespondencję zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną należy adresować:

Redakcja „WIEŚ I DWÓR" Warszawa, Marszałkowska 129.

Redaktor: **Wacław Rogowicz.** Redaktor odpowiedzialny na Galicję: **Dr. Bronisław Pawłowski** we Lwowie.

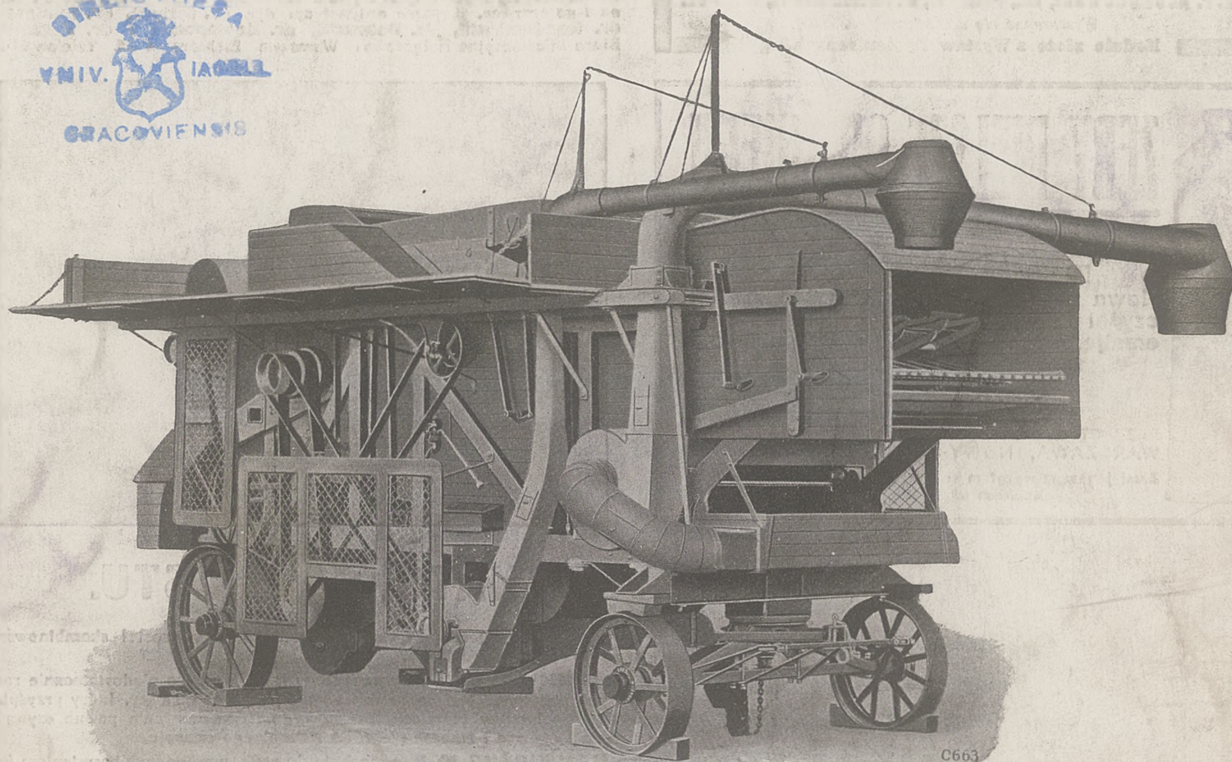
Współredaktor: **Walenty Zieliński.** Wydawcy: **Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka** w Warszawie.

Papier kredowy z firmy LEWINSOHN i SCHAUB w Petersburgu.

Zakł. Graf. A. HURKIEWICZ i S-ka. Warszawa, Marjenszladt 16.

HENRYK LANZ WARSZAWA

BRACKA 16, TELEFON BIURA 278-00,
ZARZĄDU 306-30.



Najnowsza młocarnia parowa

MŁOCARNIE PAROWE
PATENTOWANE PRASY-SAMOWIĄZAŁKI
LOKOMOBILE
BUKOWNIKI ELEWATORY

Wrazie potrzeby wysyłam inżynierów specjalistów
i wykwalifikowanych monterów do wszelkich porad technicznych.

SZCZEGÓŁOWE OFERTY NA ŻĄDANIE ODWROTNĄ POCZTĄ.

Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16.